Nr. 17—18 We Lwowie, 1 września 1934 Rok 56



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Nowa Placówka kultury łowieckiej

Na podstawie uchwały Walnego Zgromadzenia Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich z dnia 3 czerwca r. b., prawa Oddziału Związku na obszar województw: kieleckiego, lubelskiego, łódzkiego, poleskiego i warszawskiego z m. st. Warszawą — nadane zostały Polskiemu Towarzystwu Łowieckiemu w Warszawie.

Oddział ten, pod przewodnictwem Prezesa Maurycego hr. Potockiego, Wiceprezesa Związku, obejmuje wszelkie sprawy łowieckie wymienionej części Rzeczypospolitej, dotychczas prowadzone bezpośrednio przez Wydział Wykonawczy Związku.

Niezależnie od podjęcia tego działu pracy, Polskie Towarzystwo łowieckie przystępuje do zorganizowania Klubu dla myśliwych, stwarzając w ten sposób D o m M y ś l i w e g o w stolicy.

Nowopowstałej, bratniej placówce, życzymy pomyślnego rozwoju i najbardziej owocnej pracy!

WYDZIAŁ M. T. Ł.

ANTONI PISULIŃSKI

Obrazki z życia egzotycznych zwierząt łownych

VI.

SŁOŃ AFRYKAŃSKI

(Ciąg dalszy).

Zapatrywania Burów, jakie kursowały w Afryce południowej wśród polujących tam przed laty Europejczyków — że potrójna cyfra obwodu przedniej stopy (słonia-samca) daje nam jego wysokość w łopatce, a wedle tego można wywnioskować o kłach, jakie posiada — były o tyle słuszne, o ile dotyczyły słoni młodszych — lub słoni południowo afrykańskich, znanych z majestatycznego swego wzrostu. Później pokazało się, że w pobliżu równika w lasach żyją słonie mniejsze statuą, ale o potężnych kłach — jakie w tym czasie na południu były rzadkością.

Że według wzrostu słonia — jeśli innych szczegółów się nie dostrzegło — nie można wywnioskować, jakie kły posiada — pouczył mię wypadek, jaki mi się wydarzył na stepie Elephant-marsches nad Szirą.

Obóz stały miałem podówczas we wsi Mona. Leżała ona na południowym krańcu stepu, wśród lasów podgór-

skich i nad strumieniem o dobrej wodzie, a blisko dopływu Ruo — jednem słowem — w bardzo dogodnem położeniu, bo i zwierzyny rozmaitej było dość w pobliżu i słonie częściej tędy na step się przemycały, a nawet nosorożce kilkakrotnie w czasie mego tu pobytu — z gór na równinę schodziły.

Ale dłuższy postój na jednem miejscu, do tego jeszcze we wsi murzyńskiej — zaczyna być dokuczliwym. Najpierw z powodu rozleniwienia się ludzi z karawany, powtóre z powodu mnożących się ich wybryków, a skutkiem tego i częstych zatargów z mieszkańcami wsi. Zresztą chciałem jeszcze w tym sezonie jakiego lepszego słonia upolować — a wszystko wskazywało na to, że na „wypatrzonego" — większej sztuki nie dostanę. Bo i te egzemplarze, które dotychczas na stepie obserwowałem, i ten pierwszy przezemnie ubity — były młodemi sztukami, które tylko w braku lepszych się strzela. To samo mówiły mi sporadycznie odnajdywane tropy nielicznych wędrowców nocnych, które korzystając z ciemności, przez wypalony step na drugi brzeg rzeki się przekradały.

Przychodziłem coraz bardziej do przekonania, że o ile gdzieś w tych stronach są okazy starsze, to ukrywają się po lasach, na otwarte przestrzenie nie wychodzą, i należy je szukać poza stepem.

Sezon się kończył — deszcze mogły przyjść niebawem. Na dalsze wycieczki było już zapóźno. Okolicę nad Ruo, dokładnie już przeszukałem. Pozostawała jeszcze do zbadania północna część stepu. Zaglądnąłem tam tylko przelotnie. Nie znałem wnętrza lasu palmowego, jaki stepu dotyka, a także dżungli, jaka z tym lasem się łączy — dżungli i trzcinowej i kolczastej, o niewiadomej rozciągłości.

Postanowiłem udać się tam na wywiady. Zabrałem z sobą połowę ludzi, namiot, trochę bagaży i żywność na kilka dni. Po półtoragodzinnym marszu — dotarliśmy do lasu. Obóz tymczasowy nie kosztował wiele trudu. Już w południe tego samego dnia, wszystko było gotowe. I miejsce pod obozowisko odczyszczone i namiot ustawiony i legowiska dla ludzi przygotowane i kuchnia pod dachem. Nawet zasiek dokoła obozu był na ukończeniu — tak, że nie mając na razie niczego tam dopilnować — poszedłem zaraz na wywiady.

Obszedłem spory szmat lasu palmowego i byłem tem, com w tym dniu zobaczył — wprost zaskoczony. Tak jak na wyspach Sziry, tak i tu, ślady pobytu słoni widziało się na każdem miejscu.

Ile ścieżyn, ile prawdziwych dróg, wydeptanych ciężkiemi stopami gruboskórców!... Nie przypadkowe to były ślady, ale stałe ich szlaki, które im widocznie służyły przez długie lata, w czasie odwiedzania tego, wyjątkowo obszernego lasu palm „mawumu", dla orzechów, gdy te dojrzewają. Nie darmo murzyni uważali to miejsce, jako stałe ich żerowisko.

Niestety — świeżych tropów nie było, a te kupy pomiotu, co się gdzieniegdzie utrzymały — to tak były zwietrzałe i wysuszone, że śmiało można twierdzić, iż z obecnego sezonu nie pochodzą.

Orzechy jeszcze nie dojrzałe. Wiszą wysoko — może na dwadzieścia lub więcej metrów w górze. Muszą spaść na ziemię, aby słoń mógł z nich korzystać. Pora dojrzewania jeszcze nie nadeszła. Grudzień, to czas ich ostatecznego rozwoju — ale opadają na ziemię dopiero w styczniu, po wielkich deszczach. Wtedy stół dla słoni jest obficie zastawiony. A deszcze wówczas leją i gorąca szalone. Na ten czas polowanie w Afryce podzwrotnikowej jest jakby zamknięte. Nie tylko dla Europejczyka, ale i tubylca. Tem bardziej na tak nisko położonym terenie. Tu każda depresja gruntu — wypełniona jest wodą, a sam las palmowy, poprzerzynany jakby rowami i kanałami — Bóg wie jakiej głębokości — staje się dla człowieka niedostępny.

Zdają sobie widocznie z tego sprawę słonie, zwłaszcza stare wygi, bo — jak twierdził Joao — odkąd w kraju tutejszym pojawiła się broń palna i czarni zaczęli na nie polować, nigdy przed deszczami tu nie zachodzą.

— — — — — — — — — — — — — —

Dwa dni spędziłem w znojnem poszukiwaniu. Młodnik palmowy, przez który prawie siłą musieliśmy się przedzierać, kolczaste krzaki i suche trzciny, nietknięte jeszcze pożarem — raniły twarz, ręce i nogi, doprowadzając do bezsilnych wybuchów wściekłości. A rezultat — żaden!

Natknęliśmy wprawdzie dwukrotnie na pojedyncze tropy samców, nawet dość świeże, ale że badany pomiot wyraźnie mówił, że uciekinierzy mają spory „awans" przed nami, zaniechaliśmy tropienia. Bo i odcisk stopy nie należał do sztuk godnych długotrwałego pościgu.

Trzeciego dnia wstałem dość późno — jeśli chodzi o tropienie zwierza, bo równo ze wschodem słońca. Zazwyczaj wstaje się jeszcze w ciemności. Gdy się uporałem z toaletą i śniadaniem, tarcza słoneczna już znacznie odchyliła się od horyzontu. Step, który między nagie pnie wysokich palm przezierał w oddali, tonął w jasnem oświetleniu.

Czekając na tropiciela i chłopaków, guzdrających się jeszcze przy swojem jadle — wysunąłem się poza las. — Znalazłszy tu wśród licznych kopców termitów — jeden dość wysoki, wdrapałem się nań, aby obejrzeć step, zanim zagłębimy się w zarośla.

Ogromny szmat równiny, który mogłem objąć wzrokiem, był zupełnie nagi. Pustynia palona słońcem, szara, bo pokryta resztkami popiołów, po niedawnym pożarze, których wiatr jeszcze wymieść nie zdołał.

Refleks, jaki od tej tafli ku mnie padał — przesłaniał horyzont. Dalsze pola zamazywał lekki dymek, niby mgła. Cokolwiekby tam się znajdywało, nie miało stałych konturów. Wszystko drga, kurczy się i rozciąga — faluje. Czy pagórek termitów, czy zwierzyna — wszystko jedno. Raz zjawia się, to znowu niknie, aby po chwili ukazać się znowu w zmienionej już formie.

Biorę szkła. Nie pomaga!

Falowanie owo, powodowane — jak to sobie tłumaczyłem — podnoszeniem się i opadaniem drobnych pyłków w rozgrzewającem się coraz bardziej powietrzu — było w teleskopie jeszcze wyraźniejsze.

Ale przecież!... Coś się tam znaczy...

Raz i drugi zamajaczyła przed szkłami jakaś większa, czarna plama. Wprost naprzeciw.

Widzę — jest. Kurczy się, rozciąga — znika. — — —

— Et — przewidzenie!...

Ale nie! Widzę ją znowu. Coś większego od mrowi-

ska, większego stanowczo od antylopy, a chociażby od bawoła...

Joao, nowy mój tropiciel, stoi na pobliskim kopcu. Patrzy także w tę stronę. Zachowuje się jednak obojętnie. To mię peszy. Prawdopodobnie niczego nie dostrzega.

Tłumaczę sobie: nie ma szkieł, a na tę odległość i w tej rozedrganej atmosferze — najlepsze oko Kafra nie wiele zobaczy... — Więc — chociaż już nie dowierzam szkłom — patrzę jeszcze. Czarna plama mię niepokoi. Mam wrażenie, że zmieniła położenie — przesunęła się na prawo.

Coś mi mówi: nie odchodź! Idź dalej w step — przekonaj się! Uległem temu wewnętrznemu wezwaniu.

Kiwnąłem ręką na tropiciela i ruszam przed siebie. — Uszedłszy paręset kroków — wdrapuję się znowu na mrowisko. Joao — ciągnąc niechętnie za mną — coś mruczy. Jakaś nuta niezadowolenia — czy buntu. Joao, łobuz pierwszej klasy. Już mu chciałem posłać jakiś dosadny epitet kaferski — ale zamilkłem, dostrzegłszy już najwyraźniej słonia.

Więc krzyczę, oczywiście słodszym już tonem: Joao! chodź tu zaraz, zobaczysz słonia!...

Joao z niedowierzaniem gramoli się na kopiec, na którym poprzednio stałem — a po chwili słyszę, jakby najzwyklejszą odpowiedź: są dwa!

— Co dwa?... czy on kpi ze mnie?...

Ściągam go z kopca — zajmuję jego miejsce.

Konsternacja!... nie widzę żadnego.

Gdy chcę zleść, aby tam z powrotem posłać tropiciela, zjawia się czarna plama — słoń. Wyłazi z jakiegoś zagłębienia, poczem znowu doń się spuszcza.

Drugi słoń jest także, ale z innej strony. Oddalenie między niemi znaczne.

Kieruję się teraz w stronę tego, którego najpierw zobaczyłem — Przyśpieszam kroku. Wkrótce jestem już tak blisko, że w chwili, gdy wdrapywał się na brzeg parowu, dostrzegłem kły. Wprawdzie cienkie, ale dość długie.

Drugi słoń, którego mam od siebie trochę na ukos — tyłem obrócony — nic mi nie mówi. Na dobitek maszeruje raźno, coraz bardziej od nas się oddala.

W tej sytuacji nie miałem innego wyboru, jak tylko podchodzić pierwszego, u którego kły zobaczyłem. Zresztą jest większy — stanowczo większy.

Postanowiwszy to — zabieram ze sobą czterech chłopaków i boya, który niesie gruby kaliber. Tropiciela natomiast wysyłam za mniejszym, aby szedł za śladem jego i sprawdził, w jakim kierunku podążył.

Raport miał mi złożyć w obozie — po południu.

Teraz należało już działać szybko, bo słoń mógł się lada chwila ukazać na brzegu. Pas z nabojami miałem już na sobie, więc odbieram gruby kaliber*), ładuję — i co tchu pędzę naprzód.

(C. d. n).

*) Karabin firmy Holland & Holland, kaliber 8, do nabojów czarnego pryzmatycznego prochu z pociskiem ¼ funtowym. Ciężar broni 16 funtów.



A. GROETSCHEL

Wspomnienie z godów wilczych

Po kilkunastodniowej wyczerpującej pracy biurowej, postanowiłem odetchnąć świeżem powietrzem zimowego lasu i dać wypocząć nadmiernie znużonym nerwom.

Po spożyciu przeto przekąski, dosiedliśmy wraz z żoną koni wierzchowych, chłopak stajenny dosiadł konia zaprzęgowego i ruszyliśmy o zmroku w stronę lasu.

Był koniec stycznia 1930 roku, mróz kilkunastostopniowy przy zupełnym braku wiatru nie dawał się wcale we znaki. Zapadająca właśnie noc zapowiadała się szczególnie pięknie: niebo bez chmur, a księżyc bliski pełni wychylał się zwolna z poza lasu.

Wypoczęte w czasie mych zajęć biurowych konie rwały się do biegu, mknęliśmy przeto żwawo na sypkim, a niezbyt głębokim śniegu, tak, że niebawem oddaliliśmy się od domu o 8 km.

Po obu stronach drogi ciągnęły się zwarte gąszcze — otoczone dookoła staremi, jodłowemi i świerkowemi lasami. Wedle doniesień personelu leśnego, wilków na terenie całego Nadleśnictwa od kilku tygodni nie było wcale. Lecz, że jak wiadomo — wilk zjawia się zawsze znienacka i nagle przepada bez wieści, jak ta przysłowiowa „Mädchen aus der Fremde" — postanowiłem przeto zawabić. Towarzyszący nam chłopak Wasyl, przebywając często w lesie, słyszał nieraz wyjącego wilka, ćwiczył się też zawzięcie w naśladowaniu tego głosu i w końcu doszedł w tym kierunku do średniej wprawy, powodując często po nocach masowe wycie psów wiejskich.

Wasyl odebrawszy od nas konie, pozostał z niemi o 200 kroków wtyle, my zaś obraliśmy stanowiska na rozstajnych drogach. Chłopak zawył przeciągle raz, drugi i trzeci, lecz w ciszy leśnej nie było żadnej odpowiedzi. — Po krótkiej przerwie wycie wydobyło się po raz czwarty z gardła chłopaka, lecz tym razem z odległości około trzech kilometrów całe stado wilków odpowiedziało mu z głębi lasu długiem, przeciągłem wyciem. Wasyl z przerwami zawabił jeszcze kilkakrotnie, wilki nie zostały mu dłużne odpowiedzi. Kto nie słyszał nigdy wycia wilka — ten stanowczo nie pojmie głębokiego wrażenia, jakie owłada duszą myśliwego, gdy ciszę leśną przerwie wycie stada wilków. — W głosach tych bowiem wyrzucanych wśród nocnej głuszy leśnej w przestrzeń rozległych borów, czuć siłę olbrzymią, skargę żałosną, a zarazem jakiś dziwny smętek. Słuchającego ogarnia zawsze jakieś trudne do określenia uczucie grozy — niepozbawione jednak silnego swoistego uroku.

Czas jakiś przysłuchiwaliśmy się temu oryginalnemu koncertowi, poczem wróciliśmy do koni i dosiadłszy tychże, pomknęliśmy co żywo drogą okrężną w kierunku wyjących wilków. Zbliżywszy się do miejsca, gdzie przypuszczalnie znajdowały się wilki, na jakich 1.400 mb., zeskoczyliśmy z koni, Wasyl odprowadził je wstecz, my zaś ukrywszy się za pnie buków, oczekiwaliśmy odezwania się chłopaka. — Jakoż za parę minut głos chłopaka odezwał się znów przeciągle, a na to cała zgraja (około 8 szt.) wilków zawtórowało mu długiem wyciem. Z tonu głosów można było dokładnie odróżnić kilka starych grubych sztuk, tudzież młodsze wilki. Odpowiedziawszy kil-

kakrotnie na wabienie chłopaka, ruszyły ku nam skomląc i ogryzając się po drodze.

Niebawem usłyszeliśmy nad potokiem, odległym od nas o jakie 700 mb, zawzięte swary wilcze. Gwałtowny charkot, gryzienie się i niesłychany rwetes różnych głosów wilczych niskich i wysokich nie ustawał nad pomienionym potokiem, zawsze jednak na tem samem miejscu. Wkońcu dało się słyszeć czas dłuższy rozpaczliwe skomlenie młodszego wilka, którego widocznie starsze wilki bezlitośnie poskramiały.

Nie ulegało wcale kwestji, że stado wilków, które mieliśmy przed sobą, szło za wilczycą i że o jej względy toczyły się takie zawzięte utarczki.

Wobec faktu, że wilczyca była w stadzie, nie miałem zbyt wielkiej nadziei, by wilki blisko ku nam podeszły, tem bardziej, że Wasyl nie był wcale mistrzem w wabieniu. — Nie mniej jednak już sama możliwość spotkania się z wilkami — zwłaszcza, że były już blisko, bardzo nas emocjonowała.

Wilki tymczasem walczyły wciąż ze sobą. Charkot, żarcie się i skomlenie nie cichły ani na chwilę — niestety nie zbliżały się wcale ku nam.

Wobec zwartych gąszczy i terenu pociętego jarami, trudno było z powodzeniem podsunąć się do stada pieszo, niepodobna też było podjechać konno, postanowiliśmy przeto na miejscu oczekiwać dalszego przebiegu wypadków, tem bardziej, że wilki, które już około 700 mb. ku nam podeszły, mogły lada chwila znów ku nam ruszyć.

Wilk występujący na terenach Podkarpacia w niewielkiej zresztą ilości — tylko w porze godowej łączy się w stada, które nie przekraczają tu nigdy 8 sztuk. Dla człowieka nie bywa wcale niebezpieczny, zwłaszcza, że w bogatych w zwierzynę lasach tutejszych nigdy nie cierpi dłużej głodu. Sądzę jednak, że podsuwanie się pieszo do stada w porze nocnej wśród gąszczy leśnych w czasie cieczki — a więc gdy są rozdrażnione walką i namiętnością, dla pojedyńczego człowieka czasem może być ryzykowne. — To mniemanie przekazali nam starsi myśliwi, którzy częściej niż my, mieli spotkania z wilkami.

Przypominam sobie z lat mojej pierwszej młodości opowiadanie starych, doświadczonych myśliwych, że nawet bardzo odważni łowcy przepuszczali bez strzału stada wilków, gdy te szły za wilczycą w jasnych księżycowych nocach w miesiącach styczniu i lutym, a to w obawie ataku pozostałych zalotników.

Mimo, iż Wasyl pominąwszy dłuższe przerwy, nie ustawał w wabieniu — wilki nie reagowały nadal na jego wezwanie, zbyt bowiem zajęte były walką między sobą o względy wilczycy, a co najprawdopodobniejsze, poznały fałszywe tony, których tu i ówdzie nie brakło. Niebawem też skierowały się ku północnemu zachodowi, by wśród wrzawy mieszanych głosów i silnego charkotu, przejść do innej partji lasu.

Tropiono je pilnie w ciągu kilku następnych dni, wkońcu ustalono w jednym miocie dwie grube sztuki. — Naprędce tylko z personelem leśnym zarządzone polowanie dało niezły rezultat, na rozkładzie bowiem znalazł się piękny stary basior — wilczyca zaś chybiona, uszła cało w sąsiednie lasy.

Reszty wilczego towarzystwa nie zdołaliśmy wcale odszukać, widocznie tylko ta para pozostała w naszych lasach, z zamiarem wychowania w tej okolicy potomstwa, reszta zaś odrzuconych zalotników rozprószyła się po lasach sąsiednich.

Nieraz próbujemy tu wabić wilki, głównie w miesiącu styczniu i lutym w czasie cieczki, następnie gdy młode chodzą ze starą, od czerwca począwszy, aż do jesieni. — O ile tylko wabiący stoi na wysokości zadania, wilki zawsze mu odpowiadają. Najłatwiej skłonić je do odpowiedzi na odległość 2—3 km. Czem bliższa odległość, tem bardziej musi być wyszkolony wabiący. O wiele też

LEOPOLD PAC-POMARNACKI

Uśmiech dziecka

P. Stefanji Bielawskiej
poświęcam

Lubiłem niezmiernie odwiedzać urocze Karoliszki w czasie, gdy melancholijna jesień otulała złotym płaszczem dzikie tamtejsze lasy, gdy białe welony mgieł włóczyły się po pustych polach i połyskliwych ścierniskach, a od zatopionych w dolinach łąk — szedł mocny dech rzeźkiego chłodu.

Bywało nieraz, że natychmiast po przyjeździe do dworu, wyściskany serdecznie przez kochanego gospodarza i uraczony specjałami przemiłej pani domu, wyruszałem do pobliskiej kniei na jarząbki. Po miękkiem, wzorzystem podłożu butwiejących liści, po łanach puszystego mchu, kierowałem swe kroki w stronę „Czarnego Błota", gdzie rokrocznie wylęgały się liczne stadka tych ptaków. Stąpając cicho, jak leśny drapieżnik, czaiłem się za drzewami, aż osiągnąłem skrycie brzeg gąszczów, okrywających moczar. Tutaj siadałem na którymś z wykrotów, przykrytych zielonym adamaszkiem mchu i porostów, a ułożywszy odbezpieczoną strzelbę na kolanach — czekałem. Najczęściej jednak wybierałem się na takie polowanie rankami.

Cichy dzień październikowy wstawał leniwie, otulony w zwoje mgieł, osadzających na ziemi i niskich krzewinach przejrzyste łzy rosy. Powietrze było wilgotne i pełne tajemnych aromatów, wypełniających szeroko płuca, chciwie chłonące ozon leśny. Z małych bajorków, rozsianych po lesie, podnosiły się ostre, specyficzne wonie gnijących roślin i grzybów, obsiadających obalone przybrzeżne pnie.

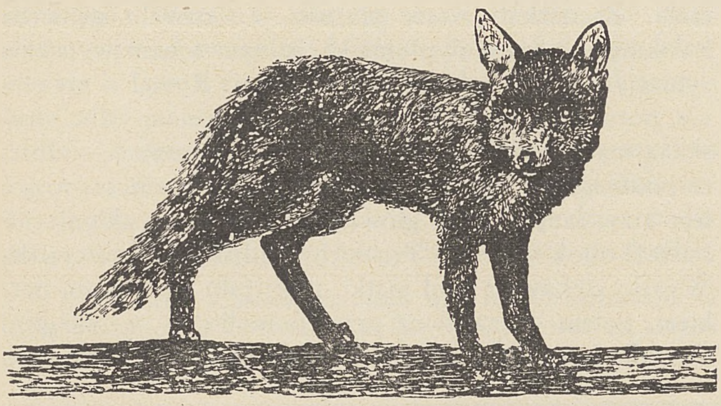
Oczekując na zwierzynę — wpatrywałem się w rozprzestrzeniający się przedemną moczar, wciśnięty w ramy mieszanego starodrzewia. Odwieczne, gonne sosny, zdobne tylko na wierzchołkach w zielone pióropusze, rywalizowały w wyścigu ku słońcu z prastaremi, bielą strzał wyróżniającemi się brzozami, których wiotkie, obwisłe gałęzie głaskały wyniosłe czuby starych, wypróchniałych osin i klonów rozłożystych. Niżej pod niemi, prężyły się obleczone czerwienią jagód jarzębiny, złociły się kępy czarnopiennych kruszyn i giętkich leszczyn. A nad tą ciżbą leśną wystrzelała miejscami szmaragdowa piramida

łatwiej spowodować odpowiedź wilka, niż zwabić go na odległość strzału. Dobrych wabiarzy spotyka się coraz rzadziej.

Wilk pojedyńczy przychodzi na wabienie na ogół łatwiej, niż stado, a przychodzi czasem zupełnie cicho — nie dawszy wcale odpowiedzi. Bardzo łatwo dadzą się zwabić młode wilczki, zwłaszcza gdy wilczycę odstrzelono, najtrudniej zaś zwabić stado wilków w czasie cieczki, gdy idą za wilczycą.

Gdy wilki są już blisko, lepiej się nie odzywać wcale, gdyż przy najmniejszym fałszywym tonie, doskonale orjentują się w sytuacji i znikają bez śladu. Najlepiej zasiadać przy drogach, linjach, ścieżkach leśnych, wilki bowiem, gdy idąc z gąszczu, natrafią na drożynę lub ścieżkę, wiodącą mniej więcej w kierunku ich dążenia prawie zawsze idą temi.

Wabiący powinien usadowić się conajmniej 150—200 kroków w tyle poza myśliwymi, wilki bowiem często, choć z razu dobrze idą na wabia, nie dochodzą na miejsce wabienia, lecz powziąwszy podejrzenie, często z powodu niezręcznego wabienia, wiatru, względnie jakiegoś nieostrożnego ruchu ze strony wabiarza, wstrzymują się nieraz na kilka minut, węszą, nadsłuchują, poczem cofają się zupełnie, lub obchodzą podejrzane miejsce dużem półkolem.



J. VRBA

Drugi kogutek

(Przekład Wł. Karnkowskiego).

Na skraju lasu, skąpany w ciepłem słońcu, był sobie maleńki, świerkowy gąszczyk. Błogą ciszę dnia czerwcowego i martwotę drzemiącej natury przerywał jedynie poszum skrzydeł przelatującego owadu i rozedrgane od ciepła powietrze.

Aż nagle nad pobliskim, wysokim chojarem zakołysał się w lazurze nieba jakiś ptak, rzucając cień na łączkę przed gąszczykiem. Na ten widok kuropatwa, choć ukryta dobrze pod świerczkiem, przycisnęła się ze strachu jeszcze silniej do gniazda. Rozum ciągnął ją w gęste krzaki tarniny, uczucie matki trzymało na miejscu. Została. Wszak czuwał nad nią kogutek! Kochający, odważny! Zoczywszy cień, nie namyślał się długo. Rozpiął bojownie skrzydełka i z głośnym krzykiem rzucił się na spotkanie wroga...

Wtem, świst i szum lotek, tuman pierza i ostre szpony jastrzębia przejęły odważną pierś i ofiarne serduszko.

A kurka na gnieździe mdlała tymczasem ze zgrozy i żalu, gdy tuż prawie przed jej oczyma, zabójca rwał w kawałki biednego kogutka. Musiała cierpieć, musiała milczeć, pod sobą bowiem czuła już nowe życie. Pękła jedna, potem druga skorupka... O Boże! Byle które nie pisnęło!

Na szczęście coś się tu widać nie podobało zbójcy, bo ze zwłokami w szponach, odleciał w głąb lasu, na dalszy ciąg uczty.

Pod kurką pękały, otwierały się skorupki jedna po drugiej. Wieczorem kwiliło już szesnaście sierot. Ruchliwy to był drobiazg. Parę główek już rozglądało się z pod skrzydeł matki po świecie bożym. Nie pomagały ostrzegawcze kwokania i dopiero chłód nocy uspokoił niesfor-

---

potężnego świerku, stojącego na czele gromady okazów młodszej generacji.

Pozornie panowała cisza. Ale wprawne ucho obytego z lasem człowieka wyróżniało z niej setki szmerów i odgłosów cichych, ledwie uchwytnych. Z żółtego jak szafran klonu opadały liście i obijając się o setki towarzyszów — sprawiały charakterystyczny, dźwięczny szelest, gdzieś na wierzchołku sosny chrobotała pazurkami wiewiórka, a z głębi lasu leciało żałobne krakanie kruka. — Przedemną, na młodym świerku, żerowało stadko maluśkich mysikrólików, bujając się na chybotliwych gałązkach i bezustannie piszcząc.

Ale oto w gęstwinie drzew, porastających błoto, burknął jarząbek. Nastała chwila ciszy. Potem nowy furkot, bliższy już obił się o moje uszy. Podobny do szarej piłki, mignął w gąszczu ptak, ulokowując się na gałęzi dalekiego świerczka. Wyglądał jak zwykła narośl drzewna. Po strzale miękko obsunął się na ziemię, znacząc się na tle opadłych liści smużkowanym brzuszkiem. Czarny gardziołek zwiastował starego kogutka, z małym nastroszonym czubkiem. Po godzinie, o paręset metrów dalej, zabiłem drugiego. Zbliżał się cichutko, skacząc po zeschłem listowiu, wyścielającem ziemię i ukradkiem spoglądał na mnie ciemnemi oczkami, aż strzał nie rozpostarł go martwo.

Wiele takich upojnych ranków spędziłem w Karoliszkach. Po skończonem polowaniu wracałem z lasu zazwyczaj powoli, rozmarzony pięknem jesiennej kniei, niosąc jednego, czasem kilka ptaków, stanowiących ulubioną zwierzynę pani domu. A gdy się już znalazłem przed gankiem — na spotkanie wybiegała zawsze maluśka Dusia, córeczka gospodarzy i obejmowała mnie za szyję drobnemi rączkami, całując na powitanie. Potem odpinała z troczków zwierzynę i pompatycznie wnosiła ją do pokoju roześmiana i szczęśliwa, jakby to jej była zdobycz.

Lubiliśmy się ze sobą bardzo, a szczególniej od chwili, gdy przemiłe to dziewczątko ukończyło już siedem lat. W piękne wieczory letnie, lub jesienne południa, siadywaliśmy długie godziny na ganku i trzymając na kolanach ten luby ciężar, balansujący obnażonemi nożętami, w krótkich skarpeteczkach i eleganckich pantofelkach — opowiadałem jej bajeczki, lub historje ze swego dzieciństwa. Złota główka, przechylona figlarnie, opierała się wtedy o mą pierś, a roziskrzone oczy barwy najcudniejszego błękitu, znamionowały ogromne zainteresowanie. Czasami zabierałem ją do lasu. Tam zbieraliśmy jagody,

ną gromadkę. Kurka zaś oka nie zmrużyła do samego rana.

Z nastaniem dnia rozpoczęły się pierwsze troski rodzinne. Przedewszystkiem trzeba opuścić to miejsce. Jastrząb, ptak przebiegły, wie, że kuropatwy żyją parami i na miejsce zbrodni powróci niezawodnie po drugą ofiarę. To też jeszcze w nocy, umyśliła przeprowadzić swój drobiazg w duży łan pszeniczny, leżący opodal na łagodnym stoku pagórka. Byle prędzej! Byle prędzej! A tu — jak na złość maleństwa pospały się smacznie, na trawach zaś wisi i wisi zimna, przeobfita rosa. Po tak zaroszonej trawie maleńkie, ledwie obeschłe kurczątka biegać nie mogą; zaziębienie, kurcze i śmierć! Między gniazdem a łanem pszenicznym zaroszona łąka, innej drogi niema, trzeba czekać!

Czekała więc, śledząc niecierpliwem okiem powolne wyparowywanie wodnych kropelek i raz po raz obracała główkę w górę, czy nie wisi nad nią ów zbójca. Pisklęta się tymczasem przebudziły i jedno po drugiem wychodziły z pod skrzydeł. Wola boska! i tak ich nie utrzyma, trzeba ryzykować!

Uciążliwa to była przeprawa. Co chwila któreś maleństwo więzło w trawach, a pisku przytem było!... Trzeba też było zwoływać opóźnione pisklęta, więc — choć bała się własnego głosu — musiała kwokać.

Dzwonili we wsi na południe, gdy wreszcie wydostała się z łąki na jezdną drogę, biegnącą wzdłuż łanu. Rozejrzała się wtedy uważnie po niebie i póty kwokała, aż ostatnie pisklę nie wyszło z traw. — Potem nurknęła w gąszcz pszeniczny i znów kwokała — — — a potem już było cicho.

Trzy dni i noce spędziła w pszenicy na pierwszych lekcjach żerowania. Tęskniła bardzo po nieboszczyku. Jaki dumny, jaki szczęśliwy byłby, widząc ich stadko — wyprowadzone do ostatniego jajeczka. I z biednego, wdowiego serduszka rwało się raz po raz rzewne cirrrkanie...

Jakoś trzeciego wieczora, gdy tak sobie biadała, niespodzianie stanął przed nią kogutek. Oczywiście, kuropatwi kogutek! Ale to nie ten jej! Prędzej grób wyda nieboszczyka, niż jastrzębi żołądek zwróci, co raz pochłonął. Jest to zatem samotnik, który przy wiosennem parkowaniu, pokonany przez wszystkich rywali, żyć musiał w celibacie. I może właśnie dlatego — tęsknił biedak do rodzinnego szczęścia...

Aż mu dech zaparło na widok stadka — bez kogutka. Gdzie jest? Boć przecież to cirrrkanie niczem innem nie było, jeno przywoływaniem męża. Na takie samo wołanie już dwa razy przybiegał do innej rodziny i dwa razy dostał po czubie od zazdrosnego taty. A przecież nie myślał o żadnych zalotach! Poprostu chciał bezinteresownie ofiarować stadku swą opiekę, obronę... Z tem samem uczuciem stał teraz przed wdową i smutnie patrzył jej w oczy — nie śmiąc się przybliżyć.

Kurka na jego widok umilkła. Pomyślała, że jednak stadko potrzebuje kogutka. Jakiegokolwiek kogutka. To prawda. Z drugiej strony, — tak łatwo zapomnieć tego, który za nich wszystkich oddał własne życie... Czarna niewdzięczność! Niezdecydowana — milczała, a on stał i patrzył, smutnie patrzył na nich.

Pod wieczór nie mógł już dłużej panować nad sobą. Podszedł parę kroków, wyprostował się junacko i pełnem gardełkiem zacirrrkał. Kurka pokręciła główką, ale milczała. Zacirrrkał jeszcze głośniej. Tu ozwało się ciche kwoknięcie. Szara dyplomatka jednym tonem wyjaśniła sytuację: „Na pojedynek nie wyzywaj! Rywal ci nie stanie, porwał go jastrząb — a przed sobą masz tylko stroskaną matkę-wdowę". Zrozumiał, nie zrozumiał — dość, że podbiegł ku niej. Przez chwilę stał jak urzeczony, potem trzy razy schylił główkę w dwornym ukłonie — i usiadł obok wdowy. Ten ruch zbudził jedno kurczątko. Wyszło ciekawe z pod matki, rozejrzało się sennem okiem, potem — zapewne przez pomyłkę — weszło pod skrzydła kogutka. Spojrzał ukosem na kurkę. Milczenie,

---

lub orzechy, ale najulubieńszą rozrywką — było przyglądanie się wiewiórce, zamieszkującej mały lasek przydrożny. Zwierzątko to, przezwane zostało Rudusią i cieszyło się dużą sympatją — zarówno moją, jak i mojej uroczej towarzyszki. Musiałem też opowiadać kochanej przyjaciółce wszystko, co wiedziałem o życiu wiewiórki, musiałem rysować rudą bohaterkę tych opowieści w najrozmaitszych pozach — wreszcie miałem powierzone sobie zdobywanie w mieście książeczek, w których była mowa o wszelkich „Rudkach" i „Popielatkach".

I odtąd osoba Dusi ciągnęła mnie głównie do Karoliszek. Jarząbki bywały tylko urozmaiceniem mego pobytu na wsi. Do niej tęskniłem, siedząc w biurze, jej srebrne szczebiotanie dźwięczało mi zawsze w uszach, ilekroć głos jakiegoś dziecka usłyszałem na ulicy. I dlatego pragnąłem znaleść się w jej gorącym uścisku, potwierdzonym dziesiątkami żarliwych pocałunków, po których następowało brzmiące jak najcudniejsza melodja „Dzień Dobry Wujaszku".

A wujaszek odczuwał wtedy, że drobna ta istotka jest czemś, co uśmiechem opromienia ponure jego oblicze i osóbką swoją wypełnia poważną część jego myśli. — i czuł się wtedy szczęśliwym, że choć jedno takie serduszko pała ku niemu czystą, dziecinną miłością.

Jak deszcz ulewny, wypadający z małej chmurki, uwieszonej pod błękitem pogodnie rozsłonecznionego nieba, spadła na mnie wieść o groźnej chorobie Dusi. Już wieczorem w dniu otrzymania depeszy stanąłem w Karoliszkach. Dziewczątko majaczyło w gorączce, nie poznając nikogo z obecnych, pogrążonych w rozpaczy. Czasami tylko następował krótki przebłysk świadomości, gnieciony natychmiast potęgą choroby. Bladą twarzyczkę opanowały przerażające rumieńce, drobnem ciałkiem wstrząsały gwałtowne dreszcze, a perliste krople potu rosiły ustawicznie tchnące żarem czoło. Serce mi pękało z bólu, na widok cierpienia kochanego dziecka. Wyszedłem na ganek i tam, wpatrzony w daleki łuk szarego, jesiennego nieba, zlewającego się wyraźnem pasmem ze stalowo-siną cięciwą majaczącego na horyzoncie jeziora — stałem skamieniały, zobojętniały na wszystko, podczas gdy myśl trwała nieustannie przy białem łóżeczku Dusi.

Naraz skrzypnęły przeraźliwie drzwi ganku. Wybiegła zdyszana służąca, wzywając mię natychmiast do chorej, która podobno zechciała się ze mną widzieć. Gdy stanąłem w pokoju, buziaczek dziewczynki okrył się jakąś nie-

cicha aprobata. Zrozumiał wtedy, że jest przyjęty, że bez żadnej osobistej zasługi, los dał mu stadko, pasując go tem samem na prawdziwego kogutka.

Dni płynęły cicho i spokojnie. Kogutek poczynał sobie, jak na kogutka przystało. On wiecznie czujny, na straży, ona wciąż w poszukiwaniu żeru. Wdzięczna mu była za opiekę, choć nieboszczyk, piękniejszy, urodziwszy, nie schodził jej z pamięci...

W połowie lipca zawrzało życie w polu. Ludzkie głosy, pobrzęki kos. — — Słyszała je już dwa razy w życiu — nie wróżą nic dobrego. Przyszedł kres i na łan pszeniczny — późno, ale przyszedł. Nie było rady — stadko musiało opuścić miłe schronienie. Gdzie go szukać? Pola były gołe, lub tylko nisko porosłe, jedne chyba ziemniaczyska! Już miały w nie zapaść, kogutek jednak leciał dalej, krzykiem wabiąc stadko za sobą. Posłusznie pociągnęło za nim, zapadło na jęczmienisku, kryjąc się przed gorącem w niezwiezionych kopkach. Pokazało się, że kogutek miał rację. Po ziemniakach chodzili ludzie z psami, padały strzały, padały kuropatwy*).

Od tej chwili nabrała wielkiego zaufania do kogutka. Wbrew kuropatwim zwyczajom, wodził on stado po gołych polach, uczył kryć się w głębokich bruzdach, pod miedzami, przed upałem chronić się pod krzakami. Słowem — poczynał sobie tak, jakby to już była zima. Nic dziwnego. Wszak w długiem osamotnieniu nie mógł z obawy przed awanturą i bijatyką, pokazać się tam, gdzie zwykle w lecie trzymają się kuropatwy, przywykł do od= ludzi, i to mu teraz wyszło na dobre.

Stale stadem trzymał się takich miejsc, gdzie myśliwi kuropatw nie szukają. Raz tylko natknął się na nich myśliwy, gdy odpoczywali pod krzakiem i troje dzieci padło ofiarą tego spotkania. Był to jednak czysty przypadek.

*) Obecnie czas ochronny kuropatw w Czechach przesunięto na dzień 15. sierpnia. Dotychczas wolno było polować na nie od 1 sierpnia.

I rzeczywiście, dzięki mądremu kogutkowi — do samej zimy stado nie poniosło dalszych strat. Piętnaścioro ich było, gdy spadł pierwszy śnieg. Myśliwy przestał być groźny — za to gorszym nieprzyjacielem okazał się głód.

Kurkę parło odziedziczone po rodzicach doświadczenie do połączenia się z innem stadem. On był temu przeciwny. Tłumaczyła mu, że w większej gromadce bywa w nocy cieplej, że pożywienie łatwiej znaleźć, gdzie jest więcej poszukujących... Nie i nie! Gdyby ich było kilkoro — owszem; ale takie stadko, jak ich, wystarczy samo sobie. Z pożywieniem zaś, wprost przeciwnie; co nasyci ich, nie nasyci większej kompanji.

Do tego, o co mu właściwie chodziło, nie przyznał się. Wszak połączone stada stanowią jakby gminę, w której przy wiosennem parkowaniu, wszystkie kogutki mają prawo walczyć o względy panienek i wdów kuropatwich. Wyjątek stanowią tylko pary małżeńskie, które już wywiodły potomstwo i razem przetrwały zimę. A o to mu właśnie chodziło, że swej wdówce poślubiony nie był, jako ojczym więc, nie ojciec stada, mógł jedynie prawem przemocy usankcjonować ich życie na wiarę. A jeśli znajdzie się śmiałek mocniejszy i odbije mu wdówkę? I znów samotność, włóczęga w pojedynkę, celibat? We własnem stadku nic podobnego mu nie grozi. Po pierwsze młode kogutki nie wiedzą, że nie jest ich ojcem, powtóre — są to młokosy, z którymi da sobie radę...

Tego kurce nie powiedział, lecz wyczuła to niewieścim instynktem i było jej bardzo miło. Powiedzmy prawdę, pokochała go, widząc jak był dobry i czuły, jak pilnie szukał pożywienia, jak sam nie jadł, póki nie było syte stado i ona. Stanowczo czulszy był niż nieboszczyk. — Zima trzymała długo, inne stada były głodem mocno przerzedzone, oni nie stracili nikogo, a nawet nie pochudli bardzo. I czyja to zasługa? Jego. Jego doświadczenia. Wiedział o wszystkiem. Wiedział o zachwaszczonej koniczynie, niezaoranej przed zimą, o łące pod lasem niepo=

---

ziemską aureolą zadowolenia. Zeschłe, spieczone usteczka z trudem wydały charczący szept: „Wujaszku, ja jestem chora... nie mogę iść. Przynieś mi wiewióreczkę".

Bezzwłocznie wyruszyłem ze strzelbą do lasu, który stał cichy, płaczący drobnemi łzami deszczu. Sunąłem się ostrożnie, rozglądając bacznie dokoła. Ale nic martwoty nie mąciło. Tylko z pierzastych łapek świerkowych rytmicznie spadały krople wody, uderzając o leśne podłoże z cichym szmerem. W powietrzu mignął czasem drobny ptaszek, sadowiąc się na konarze drzewa i wnet się porywał do dalszego lotu. Wiewiórek nie było widać. Napróżno przebijałem wzrokiem zwarte gęstwiny świerkowych gałęzi, daremnie tłukłem kijami wypróchniałe pnie starych osin. Jedynie czujne jarząbki, odpowiadały mi z oddali głośnym furkotem swej ucieczki.

Zniechęcony i przemoknięty, zawróciłem w stronę dworu, bojąc się nawet myśleć o stanie zdrowia swej młodziutkiej przyjaciółki. Z opuszczoną na piersi głową, szedłem dróżką polną, machinalnie omijając szeroko rozlane kałuże czarnego błota. Zbolałe moje serce buntowało się przeciwko losowi i przeznaczeniu; jakaś zawiść niewytłumaczona ścigała nawet beztroskie ptaki, za to, że fruwają niefrasobliwie wtedy, gdy tymczasem istotka tak do nich dawniej podobna — walczy ze śmiercią. — Ale w chwili, gdy tak rozmyślałem, dostrzegłem lecącego w dali krogulca. Oprzytomniałem. On też, jak ta przemożna u ludzi choroba, sprowadza nieszczęście do rodzin ptaszęcych, on również zabija i zasmuca, jest powodem śmierci i żalu.

Wchodziłem do lasu przydrożnego, kryjącego dla mnie tyle wspomnień błogich i niezapomnianych chwil, gdy tutaj z Dusią zbierałem grzyby, lub orzechy, albo siedząc na zielonej darni, pieszcząc jej jedwabiste włosy — opowiadałem jedną z nieprzeliczonych bajek własnego układu, kiedy nagle doleciało mię donośne cmoknięcie. — Spojrzałem wgórę i znieruchomiałem.

Na gałęzi rosochatej sosny, jak rudy kłębek, otulona płaszczem puszystego ogona — siedziała nasza Rudusia. Przytuliłem się natychmiast do pierwszego z drzew i zdjąłem strzelbę. Ożyły dawne wspomnienia, zadźwięczał mi w uszach srebrny śmiech Dusi i jej zachwyty pod adresem „naszej" wiewióreczki. Ale ja przyszedłem dzisiaj, by się cieszyć z tego spotkania, lub odnawiać obrazy przeżyć, by pieścić wzrok akrobatycznemi ewolucjami miłego zwierzątka. Przyniosłem broń, która miała wydrzeć życie jednej z wiewiórek. I oto los tak zrządził, że dla osło=

siecronej, o starych miedzach pod śniegiem, o niezamarzającem źródełku...

Przyszła wiosna — śnieg ginął w oczach. Wyjrzały z pod niego miedze, potem ostra skiba jesiennej orki i po polach odzywało się pierwsze cirrrkanie kogutków na boje miłosne.

Nie bronił pasierbom szukać przygód rycerskich, nie przejmował się zniknięciem tej czy owej młódki ze stada. Toż los wszystkich rodziców, że dzieci ich opuszczają za głosem serca. Aż wreszcie zostali oboje sami. Zostali razem, ponieważ głuchy na wołania rywali, nie opuszczał kurki ani na chwilę. I sam nie wyzywał — przeciwnie — usłyszawszy wyzwanie, odprowadzał kurkę na bok. Nie dowierzał białogłowie — mądrala.

Ucichły bojowe wyzwania. Parki były już zkojarzone. Tu wdówce zrzedła mina. Jakto? Minęły gody, a kogutek ni razu nie okazał się jej rycerzem? Może to jedynie platoniczny opiekun i nic więcej?

Na szczęście omyliła się.

Pewnego ranka — coś się w nim odmieniło. Coś go odrodziło nie do poznania. Czyżby wiosna? Bo już łąki kwitły kaczeńcem, pola pachniały, wszystko kipiało młodem życiem, które po srogiej zimie, niezniszczalne, wieczne, brało ziemię w swą władzę. I nagle kogutek stanął na miedzy wyprostował się jak struna — i zacirrrkał tęsknie, a potem, złożywszy przed kurką kilka dwornych ukłonów, opuścił skrzydełka i filuternie ocierając się o nią, jął się jej zwierzać ze swych pragnień. A jej oczki zaszły mgłą rozmarzenia, a drobne serduszko ścisnął dreszcz oczekiwania... — Gdy zaś kurczowo roztrzepotał się nad nią skrzydełkami, poczuła ze wstydem, że krzywdziła go srodze, pomawiając o platonizm.

Wiosna była w całej pełni, gdy nasza kurka zaczęła znosić jajka. Niosła i niosła i końca temu nie było, aż z dumą naliczyła ich dwadzieściasześć...

Była to najpiękniejsza wiosna w jej życiu...

Międzynarodowej Radzie Łowieckiej i Międzynarodowej Radzie Ochrony Przyrody do wiadomości!

W numerze 5-tym „Le Saint-Hubert" z 1 maja b. r., zamieszczono artykuł Pana Jean Lurkin p. t. Les grives (Drozdy). Pan Lurkin opowiada w nim, że przyjaciel jego Auguste Leonard, Belg, postanowił w jesieni r. 1933, pobić swój rekord 1734 drozdów z roku poprzedniego i że dokonał tego ubijając w ciągu października, listopada i początku grudnia 2.400 drozdów. Terenem polowania Pana Leonard, było płaskowyże Herve, w Belgji, położone między rzeką Mosełą i granicą niemiecką. Autor wyraża się w superlatywach o wyczynach swego przyjaciela, podziwia jego poświęcenie się dla sprawy, jego wytrzymałość we wczesnem wstawaniu i w ciągłem przerzucaniu się samochodem z jednego „rewiru" w drugi, jego wprawę w przełażeniu przez płoty obsadzone krzakami bzu i ostrężyny, w których to płotach drozdy najchętniej się trzymają, a któremi teren odnośny jest tak pocięty, że rzadko można znaleźć przestrzeń większą od 1 hektara, któraby nie była płotem okoloną. Zachwyca się też nadzwyczajną precyzją strzałów Pana Leonard, który na ubicie owych 2.400 drozdów, zużył tylko 4.000 nabojów.

W tym samym numerze czasopisma znajdujemy też notatkę, że niejaki Pan Tesi, myśliwy włoski, zastrzelił w jednym dniu w Tunisie 1028 drozdów 2.500 strzałami, a rezultat ten kazał sobie potwierdzić przez świadków i umyślnie przybranego notarjusza, który spisał w tym względzie urzędowy protokół.

Po przeczytaniu artykułu Pana Lurkin i owej notatki o Panu Tesi, nasuwają się mimowoli refleksje o dziwnej mentalności myśliwych „droździarzy", a nie można się też oprzeć zdumieniu, iż Le Saint Hubert, organ francuskiego Saint-Hubert Klubu i będący dziś też oficjalnym

---

dzenia ostatnich chwil umierającej dziewczynki — miała zginąć jej czworonożna przyjaciółka. Przez chwilę wahałem się. Nęciła mnie pokusa darowania życia sympatycznej Rudusi, która przecież była świadkiem dawnego mojego szczęścia, która wywoływała uśmiech radości na tak drogim dla mnie buziaczku. Ale zaraz przypomniała mi się zdławionym głosem wykrztuszona prośba dziewczęcia i ona zwyciężyła. Strzeliłem. Z cichym szmerem sypiącego się igliwia, spadła biedna wiewiórka w ostatnich skurczach konania. Jeszcze otwierała błyszczące, załzawione ślepki, które kryły w sobie niemy wyrzut i przekleństwo niewdzięczności ludzkiej, jeszcze poruszała puszystą kitką, aż wreszcie znieruchomiała już na zawsze. Z przykrością patrzałem na martwe ciałko zwierzątka: czułem jakiś żal do siebie za popełnienie tego czynu. Ale robiłem to dla chorej Dusi, dla jej uśmiechu, co tylko mnie usprawiedliwiało.

Wkrótce byłem już w domu. Na ganku powitała mnie wieść, że chora ma się lepiej, a gorączka ustępuje. Pośpieszyłem więc natychmiast do jej łóżeczka, składając na krześle przed nią małe ciałko Rudusi. I oto nagle niebieskie oczęta drzemiącej przedtem dziewczynki zajaśniały radością i życiem, drobne, blade jak alabaster rączęta wysunęły się ku martwej wiewióreczce i spoczęły na niej. Chude, wyniszczone liczko zaczęło zwolna powlekać się leciuchnym rumieńcem, kraśnieć, ożywiać się. Na koralowych usteczkach pojawił się uśmiech ucieszonego dziecka, uśmiech, który jest największym, najcudniejszym z cudów świata. W takiej chwili, przy widoku powracającego do życia dziecka, nie żałowałem już popełnionego czynu.

Roniąc łzy rozczulenia, uściskany byłem przez rozradowanych rodziców i znowu, jak dawniej, czułem się szczęśliwy.

— — — — — — — — — — — — — —

Dziś na poczesnem miejscu biureczka siedemnastoletniej Dusi, leży niepozorny, zniszczony już dywanik ze skórki wiewiórczej, podszytej zielonem suknem. Ktoś niewtajemniczony skrzywiłby się tylko na jego widok. Lecz rączęta dziewczęcia muskają dotąd jeszcze z lubością stare już, łysiejące, wytarte, lecz drogie dla niej futerko.

organem Międzynarodowej Rady Ochrony Łowieckiej (Conseil International de la Chasse) umieszcza podobne artykuły i notatki bez żadnych od siebie komentarzy.

Przedewszystkiem bowiem jesteśmy pewni, że czytelnicy nasi są zgodnego z nami zapatrywania, iż drozdy, a raczej drozdowate (drozdy właściwe, droździki paszkoty i kwiczoły) to chyba szary koniec rzędu zwierzyny łownej i że nie trzeba być aż myśliwym „jeleniarzem" lub „dzikarzem", aby nie wzruszyć ramionami na zachwyty nad polowaniem, które może się kiedyś uprawiało sporadycznie w zaraniu karjery myśliwskiej, którego „powabów" jednak żaden z naszych dorosłych myśliwych jakoś odczuć nie może. To byłaby jednak prywatna sprawa Panów Lurkin i Leonard, tudzież tych Panów, którzy, jak przytoczono w artykule, gromadzili się licznie codziennie wieczorami około osoby rekordzisty, aby przy kieliszkach wina mozelskiego wysłuchać jego opowiadania o wyczynach minionego dnia. Sprawa jednak przestaje być ich prywatną, gdy się zważy, że wszak chodzi tu o ptactwo śpiewające, które rozwesela ogrody i gaje, a zarazem o ptactwo owadożerne, zatem ogromnie użyteczne. Ale „wyczyny myśliwskie" Pana Leonard lub Pana Tesi przedsięwzięte w tak wielkich rozmiarach, stają się nieprzyzwoitością międzynarodową, skoro się zważy, że n. p. w Holandji, leżącej o miedzę od terenów działalności Pana Leonard, jest strzelanie drozdowatych od kilku lat za wdaniem się Ochrony Przyrody zupełnie zabronione i że zabrania go także świeżo wydana pruska ustawa łowiecka, która zalicza wprawdzie drozdy (a właściwie tylko kwiczoły) do zwierzyny łownej, równocześnie jednak zabrania polowania na nie, bo nie przewiduje dla nich czasu polowania. Zauważyć przytem należy, że według projektu nowelizacji naszej polskiej ustawy łowieckiej, tylko paszkoty i kwiczoły, zaliczono jeszcze do zwierzyny łownej, że im jednak u nas nic nie grozi, bo u nas niema poprostu ludzi pasjonujących się do strzelania tego ptactwa, a art. 41 dziś obowiązującej ustawy, w tym względzie nie mającej być zmienioną, zabrania chwytania ptactwa w sieci, sidła i tym podobne przyrządy.

A właśnie przy tem wszystkiem i o tem pamiętać należy, że, pomijając, że Pan Leonard ma z pewnością w swej ojczyźnie kolegów, którzy chcąc iść w jego ślady, święcą także, choć mniejsze rekordy „droździe", wolno w Belgji to ptactwo, jak zresztą inne także, łapać w sieci i sidła i że bardzo niedawno, bo w styczniu r. 1933, wydano tam ustawę, która znowu unormowała taksy na uprawnienia sieciarskie i sidlarskie.

Nam się wydaje, że właśnie ptactwo przelotne, jako będące naturalną współwłasnością wielu krajów, których w swych wędrówkach dotyka, nie powinno być przedmiotem rekordów wogóle, a tem mniej takich, które noszą wszelkie cechy niesmacznej masakry, zwłaszcza, że to ptactwo jest w swych wędrówkach i tak narażone na najrozmaitsze niebezpieczeństwa, a my wszak do jego rozmnoży prawie że żadnych pozytywnych starań przedsięwziąć nie możemy.

Rekordy ilościowe, o ile one wogóle przystoją prawdziwemu myśliwemu, można raczej stosować do zwierzyny stałej, którą się wyhodowało i której odstrzał jest corocznie z góry preliminowany, bez szkody dla sąsiadów i międzynarodowych stosunków na tle ochrony przyrody.

Rekordy w guście Panów Leonard i Tesi, mogłyby nam być zresztą obojętne ze stanowiska myśliwskiego i tylko myśliwskiego, gdyby nie to, że, i inne ptactwo łowieckie przelotne jest — zdaje się — w owych krajach przez myśliwych ich pokroju, w podobny traktowane sposób.

A. Sander.

STEPOWY ŁÓW

(SONET)

Roześmiały się stepy — — — Słońce błysło z chmury
Pod niebiosami, w górze, niby srebrne dzwonki,
Znowuż perlistą pieśnią zagrały skowronki — — —
Znowuż dosiadłeś konia, co ma u nóg pióry! — — —

Zielony step pod tobą — błękity u góry — — —
Charty dawno spuszczone z skórzanej postronki:
Wiją się, jak paciorki pstrokatej koronki — — —
A tyś, jak orzeł hardy, co wzleciał nad chmury! — — —

— Hej! Halali! — — — Trzymajcie! Dojeżdżaj pan, bracie!
Wiatronogie rumaki śmigajcie, jak strzały! — — —
Bo dzisiaj swoją skórą lis za trud nasz płaci — — —

Już psy dopadły zwierza — legawki zagrały — — —
Hej! te łowy stepowe, ukraińskie łowy — — —
Gdy człowiek o nich wspomni — świat nie taki płowy!

Tytus Karpowicz

Krajowa produkcja amunicji myśliwskiej i sportowej

Warszawska Fabryka Amunicji

W numerze 20 „Łowca Polskiego" pojawił się artykuł P. W. Z., w którym autor podaje historję powstania Warszawskiej Spółki Myśliwskiej i założonej przez nią Warszawskiej Fabryki Amunicji, tudzież stan tej fabryki i techniczną stronę wyrobu amunicji przez nią.

Artykuł ten pozwalamy sobie powtórzyć w streszczeniu, a raczej w tych ustępach, które muszą zająć i czytelka z Małopolski.

Od siebie dodajemy, że amunicja W. F. A. cieszy się już najlepszą opinją w szerokich kołach myśliwskich i sportowych, bo rzeczywiście jest doskonała i nie ustępuje w niczem produktom zagranicznym, które, gdy chodzi o ich tańsze sorty, bardzo znacznie przewyższa.

Warszawska Spółka Myśliwska powstała w r. 1904, przez przejęcie przez grono znanych myśliwych istniejącej oddawna firmy B. Ronczewski. W kilka lat później zrodził się w jej łonie projekt maszynowego przygotowywania myśliwskich ładunków śrutowych. Urzeczywistnione to zostaje już w r. 1911, w którym sprowadzono do kraju pierwszą elektro-automatyczną maszynę do ładowania. Od tego roku datuje się rozwój maszynowej fabrykacji myśliwskich nabojów śrutowych w Polsce, a powodzenie i uznanie, jakie spotyka ten produkt w kołach myśliwskich, rodzi konieczność rozszerzenia ram fabrykacji, wszelako staje temu na przeszkodzie wojna światowa.

Dopiero rok 1923, po ustabilizowaniu się pokoju i ustaleniu w Polsce wytycznych dla różnych działów przemysłu krajowego, pozwala Spółce na następny krok w rozwoju fabrykacji śrutowej amunicji maszynowej — na sprowadzenie drugiego automatu. Dalsze rozszerzenie tej fabrykacji następuje już bardzo szybko, gdyż w następnym roku 1924 przybywają z zagranicy w tym celu dalsze dwie (trzecia i czwarta) maszyny elektro-automatyczne, stanowiąc, jak dotychczas, dostateczny komplet maszyn, ładujących myśliwską amunicję śrutową.

Jednocześnie jednak, z rozwojem maszynowej fabrykacji śrutowego ładunku myśliwskiego i ze wzrostem jego popularności, rodzi się u producentów gospodarcza troska o wytwarzanie tego ładunku z elementów krajowych. Nie jest to rzeczą łatwą i kwestja ta zostaje rozwiązana dopiero w ciągu następnych lat, przy stopniowem zastępowaniu elementów zagranicznych produktami przemysłu krajowego.

W roku 1926 Spółka rozpoczyna budowę własnej fabryki łusek, którą kończy w r. 1928. Następnie powstaje w r. 1931 dalszy oddział „Warszawskiej Fabryki Amunicji" — śrutownia i ostateczne dokompletowanie urządzeń i maszyn wytwórni, obejmującej odtąd własną fabrykację przybitek — a w związku z amunicją rewolwerową, sportową (kal. 22) i flowerową (kal. 6 i 9) przybywa prasa do wytwarzania drutu ołowianego na kule — wreszcie powstaje własna drukarnia etykiet i wytwórnia pudełek.

Kiedy już tak liczne elementy, potrzebne do skonstruowania naboju śrutowego, na miejsce importowanych z zagranicy, zaczęły być wytwarzane we własnym zarządzie „W. F. A.", a proch „Rotweil" zastąpiony został prochami krajowemi, produkcji Państwowej Wytwórni Prochu „Pionki", pozostał do dziś jeden tylko element, który „W. F. A." sprowadza nadal z zagranicy, bowiem produkty krajowe nie odpowiadają dotąd całkowicie wymaganiom, nie posiadając tych zalet, jakie cechują w tym zakresie wyrób niemiecki.

Jest nim nierdzewiejący kapiszon (recte spłonka) typu „Gévelot" fabryki R. W. S. (Rheinisch-Westfälische Sprengstoff-Actien-Gesellschaft w Norymberdze) z masą „Sinoxid", nie dającą żadnego osadu, powodującego niszczenie luf. Jest to fabrykat bezwarunkowo najlepszy w świecie, który prześcignął swój prototyp, francuski — oryginalny „Gévelot".

Poza kapiszonem, literalnie wszystkie inne części składowe naboju śrutowego wytwarzane są w kraju, z czego oprócz doskonałego bezdymnego prochu Państwowej Wytwórni Prochu „Pionki", całą resztę produkuje stojąca już dziś na bardzo wysokim poziomie technicznych udoskonaleń „Warszawska Fabryka Amunicji".

Jakże się teraz odbywa ta fabrykacja?

Przedewszystkiem więc rozpatrzmy dział produkcji łusek. Przechodzi on aż 18 operacyj, z czego 6 odnosi się do części z metalu, 7 do — papieru i 5 do złączenia ich razem.

Przedewszystkiem dokonywane jest wycięcie z pasków mosiądzu odpowiedniej średnicy krążków na okucie dolne; inna maszyna dokonywa wystemplowania firmy; dalej następuje zglijowanie (zmiękczenie) metalu, konieczne dla nadania mu potrzebnej elastyczności; następnie wytrawianie w kwasach; wycięcie stalowej skówki do środka okucia i wreszcie spojenie części metalowych.

Papier łuskowy przechodzi następujące momenty: sklejenie kartonu w rurki i oklejenie ich nadrukiem; suszenie; satynowanie (gładzenie); pocięcie rurki na pojedyńcze łuski; pocięcie osobno przygotowanej szyjki prochowej; zwinięcie korka wzmacniającego i wsunięcie go do szyjki; połączenie tulejki łuski z szyjką (z korkiem).

Trzecią grupę czynności fabrykacji łusek stanowi złożenie papieru z metalem, a więc: zaciśnięcie metalowego okucia na rurce papierowej; wytłoczenie kryzy i gniazda kapiszonowego; obcięcie wykończonej łuski do 65, względnie 70 mm długości; założenie kapiszona; kontrola jakości produktu, po której następuje opakowanie.

Przejdźmy teraz do śrutowni, stanowiącej drugą podstawową część fabrykacji naboju myśliwskiego.

Surowiec pochodzi z hut śląskich i otrzymywany jest w stanie czystym, w blokach po 50 kg. Surowiec ten poddaje się dwu rodzajom zaprawy chemicznej, potrzebnym dla nadania ziarnkom śrutu krągłości, oraz dla spowodowania odrywania się pojedyńczych kulek od sita kalibrowego i skraplania się ich.

Początek fabrykacji śrutu odbywa się u szczytu wieży o 62-ch metrach wysokości, gdzie metal wraz z preparatami do zaprawy roztapiany jest w dwóch kotłach gazowych, w odpowiedniej proporcji dla każdego numeru śrutu. Następnie kompozycja ta zostaje wylaną na sita o odpowiedniej do żądanego numeru śrutu średnicy otworów, z których spada nakształt deszczu do basenu z wodą, umieszczonego na parterze. Przebywając tę 62 metrową drogę powietrzną, śrut ulega skrzepnięciu, a w basenie z wodą — zahartowaniu.

Po ukończeniu całego kotła (porcji), surowy na oko śrut zostaje przeniesiony windą na trzecie piętro, do suszarni, składającej się z płyt ołowianych, podgrzewanych kaloryferami. Następnie zostaje zepchnięty rurami na drugie piętro, na pochyłe stoły przetokowe, mające za zadanie oddzielenie okrągłych śrucin od nierównych i „bliźniaków" (ziarn zlepionych z sobą).

Dalej, aby uzyskać przesortowanie podług średnicy, śrut zostaje zepchnięty na pierwsze piętro, gdzie ustawione są trzy maszyny sortujące, zaopatrzone w sita o otworach od 1½ do 6 mm. Maszyny te mają ruch poziomy, zmuszający śrucinę do przebycia po pochyłej drodze przez wszystkie sita, których otwory w miarę spadku, zwiększają się o 0,1 mm. Po drodze śrucina musi natrafić na otwór odpowiedniej dla siebie wielkości i spaść przezeń do specjalnych rur, prowadzących na parter, do zbiornika, posiadającego liczne przedziały, odpowiadające numeracji śrutu.

Ostatnią operacją przy wytwarzaniu śrutu jest polerowanie go, odbywające się w specjalnych bębnach, dzięki czemu ziarnka otrzymują lustrzany połysk.

Wreszcie następuje opakowanie w woreczki, stosowane w handlu dla wygody myśliwych w trzech pojemnościach: 10, 5 i 2 kg.

Gdy posiadamy już gotowe łuski i ostatecznie wykończony śrut, spojrzmy pobieżnie na t. zw. ładownię, gdzie pracują owe 4 maszyny elektro-automatyczne. Są to piękne, nadzwyczaj skomplikowane i niezmiernie precyzyjne maszyny, samoważące proch zapomocą elektrycznych, nader czułych wag, opatrzone przyrządami kontrolującemi ładowanie naboju po każdej dawce jego zawartości (a więc 4 razy) i wreszcie zakręcające ładunek na przybitce śrutowej. Opuszczenie którejkolwiek z tych dawek, lub jej części, powoduje natychmiastowe odrzucenie danego naboju w trakcie ładowania.

Obsługę każdej z tych maszyn stanowi tylko jedna robotnica, która dostarcza materjału do właściwych lejów i przewodów; druga robotnica przy każdej maszynie zajęta jest odbiorem gotowych ładunków i pakowaniem ich w pudełka. Dozór techniczny przy maszynach ładujących sprawuje stale dwóch mechaników-monterów.

Fabryka wytwarza zasadniczo naboje śrutowe, ładując je prochami „Sokół" lub „Kuropatwa", jednak na żądanie czyni to z każdym innym prochem, jak również wykonywa wszelkie innego rodzaju indywidualne żądania na zamówienie.

W dziale pocisków pistoletowych, które są również przedmiotem produkcji „W. F. A.", istnieje nadto niklownia do niklowania opancerzonych pocisków do Browninga, Parabellum i Nagana.

Zanim przejdziemy do dalszych szczegółów natury administracyjnej i handlowej, uważamy za właściwe powrócić na chwilę do podstaw organizacyjnych fabryki.

Zarząd „Warszawskiej Spółki Myśliwskiej", pragnąc postawić fabrykację na odpowiednim poziomie i nie gubić się w wynalazkach, lecz dać odrazu pierwszorzędny wyrób, zaangażował na początku (w r. 1926) zagranicznych specjalistów, którzy w ciągu dwóch lat, uruchomili poszczególne działy fabryki, i nauczyli techniki produkcji personel polski.

W obecnej chwili „W. F. A." pracuje wyłącznie siłami krajowemi, wprowadzając stopniowo coraz nowe działy wytwórczości i budując nawet zastępczo brakujące urządzenia i maszyny w miarę zużycia dawnych. W tym celu fabryka posiada dział narzędziowo-konstrukcyjny.

W tem miejscu należy wspomnieć, że oprócz fabrykacji ładunków myśliwskich, amunicji sportowej i flowerowej oraz pocisków pistoletowych, „W. F. A." wytwarza amunicję do t. zw. „wiatrówek" kal. 4,5 i „Diabolo" do tychże, będąc w tym dziale jedyną polską wytwórnią.

W r. 1933 nawiązany został przez kierownictwo fabryki kontakt z władzami wojskowemi, w wyniku czego „W. F. A." zaspakaja w pewnym stopniu potrzeby Kierownictwa Zaopatrywania Uzbrojenia.

Możność produkcyjna fabryki — jeśli chodzi o naboje myśliwskie (śrutowe) — przy dwóch zmianach personelu wynosi 60.000 sztuk ładunków dziennie. Fabrykacja tych ładunków atoli normuje się zapotrzebowaniem rynkowem, natomiast fabryka nigdy nie pracuje na zapas, co uwalnia obrót handlowy od nabojów, leżących dłużej na składach, a co jest praktycznie niezmiernie ważne dla konsumcji.

Personel fabryczny składa się w dziale administracji zaledwie z 4-ch osób, a mianowicie z dyrektora fabryki, którym jest p. Karol Kitzman, jego zastępcy, majstra i technika. Etat personelu technicznego i roboczego wynosi 154 osoby (łącznie z ekspedycją).

W r. 1928 obecny dyrektor p. K. Kitzman został wybrany do Zarządu Spółki, w r. 1931 objął on już kierownictwo organizacyjne fabryki, zaś w roku 1933 — ogólne kierownictwo całej firmy. Podczas urlopów dyr. Kitzmana zastępstwo sprawuje p. M. Stolz.

Zarząd firmy stanowią pp. Jarosław Iwaszkiewicz (prezes), K. Kitzman, W. Bląk, Stefan Kuskowski, Antoni Tomicki i Z. Sall.

Spółka posiada na terenie Rzplitej 5 punktów sprzedaży swych fabrykatów, z czego dwa w Warszawie, oraz oddziały: w Poznaniu, Lwowie i Wilnie, docierając w ten sposób bezpośrednio do najważniejszych ośrodków życia myśliwskiego.

Trzeba również zaznaczyć i silnie podkreślić, że odkąd zostały uruchomione wszystkie działy wytwórczości „W. F. A.", personel tej ważnej dla myślistwa placówki nie ulegał ani razu redukcji, jak również nie była obniżana skala jego wynagrodzenia, co niezbicie dowodzi, że produkcja amunicji myśliwskiej bynajmniej nie jest nasycona i że jej rozwój postępuje nawet w dobie ogólnego kryzysu, jakkolwiek „W. F. A." nie posiada wyłączności w produkowaniu maszynowo amunicji śrutowej.



Konkurs fotograficzny „Łowca Polskiego"

Wzorem lat ubiegłych ogłaszamy konkurs fotograficzny na artystyczne zdjęcia łowieckie.

W roku ubiegłym na łamach „Łowca Polskiego" wyjaśnialiśmy, czego od artystycznej fotografji wymagamy, jakie są rodzaje tematów i ich wartość istotna.

Plon zeszłorocznego konkursu omówiony był również w osobnym artykule zamieszczonym w Nrze 6 „Łowca Polskiego" z dnia 20 lutego r. b.

W premjowaniu będą brane pod uwagę fotografje najodpowiedniejsze do reprodukcji w „Łowcu Polskim".

Zasadnicze warunki tegorocznego konkursu pozostają niezmienione. Przypominamy, że na zdjęciach (odbitkach), nadsyłanych na konkurs należy podawać tytuł obrazu, nazwę miejscowości i powiatu, markę aparatu użytego do zdjęcia, oraz godło konkursowe autora.

Nazwisko i adres, wypisane czytelnie, należy przesłać w oddzielnej, zaklejonej kopercie, opatrzonej na zewnątrz tem samem godłem, co wszystkie nadesłane na konkurs fotografje.

Wobec coraz wyższego poziomu nadsyłanych na konkursy zdjęć fotograficznych i pragnąc zachęcić jak najszersze koła ubiegających się o nagrody, Wydział Wykonawczy Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich postanowił powiększyć liczbę nagród w porównaniu z ubiegłemi latami.

Nagrody pieniężne ustalone są, jak następuje: I nagroda — zł. 150, II — zł. 100, III — zł. 50, IV — roczna prenumerata „Łowca Polskiego" i V — półroczna prenumerata „Łowca Polskiego".

Niezależnie od powyższych nagród postanowiono przyznać za wybitne zdjęcia, także odznaczenia w postaci złotych, srebrnych i bronzowych żetonów.

Wreszcie ustanowiono trzy specjalne żetony: złoty, srebrny i bronzowy, za najlepsze zdjęcia o charakterze czysto łowieckim.

Jury konkursowemu przysługuje nadanie wszystkich wymienionych nagród i odznaczeń według uznania, bądź za pojedyńcze zdjęcia, bądź też za serje, lub całokształt pracy autorskiej.

Jury konkursowe stanowią, jak corocznie, członkowie Komitetu Redakcyjnego „Łowca Polskiego".

Redakcja zastrzega sobie prawo produkcji wszystkich nadesałnych nam na konkurs zdjęć fotograficznych, oraz prawo ewentualnego udzielania odbitek, lub klisz drukarskich do użytku pokrewnych czasopism zagranicznych, w celach propagandowych.

Termin nadsyłania zdjęć na konkurs upływa z dniem 31 października r. b.

Uwaga: Warunkiem otrzymania dobrej kliszy drukarskiej, a następnie wyraźnej i przejrzystej odbitki w druku, jest ostrość zdjęcia, eksponowanego właściwie i odbitego na papierze bromosrebrnym. Najbardziej pożądany jest czarny kolor odbitki.

Redakcja „ŁOWCA POLSKIEGO"

Z wydawnictw

ŁUCZNICTWO. Łotocki Z. — Główna Księgarnia Wojskowa, Warszawa, 1934. Cena zł. 2,—.

Łucznictwo jest sportem niezwykle zdrowym, bowiem wprowadza wszystkie mięśnie w ruch, prostuje postawę, rozwija klatkę piersiową i kształci system nerwowy. Jest to poza tem sport względnie tani i dostępny dla wszystkich, niezależnie od wieku i płci i to jest jego nie mniejszą zaletą. Ponadto łucznictwo, wyrabiając orjentację, szybkość decyzji, pewne oko i opanowanie nerwowe, jest bardzo pomocne przy innych sportach, zwłaszcza przy zaprawie strzeleckiej. Tym to walorom łucznictwa należy przypisać szybki jego rozwój zagranicą, a ostatnio i u nas.

Tyle o samym sporcie. Jeżeli chodzi o literaturę w języku polskim z tego zakresu, to liczy ona kilka prac, a więc dwie Zarychty, ponadto Dymeckiej i Łotockiego. Wszystkie spełniły swą rolę, lecz obecnie są już nieco przestarzałe i nie wyczerpują całości zagadnienia. Świeżo literaturę łuczniczą wzbogaciła nowa praca pióra Z. Łotockiego p. t. „Łucznictwo". Ma ona charakter wybitnie podręcznikowy. Podejmując opracowanie wymienionego podręcznika, autor pragnął zawrzeć w krótkim zarysie cały dorobek techniczny naszego łucznictwa. Uwzględnia on zarówno i to przedewszystkiem doświadczenia własne jak i opracowania zagraniczne.

Praca dzieli się na 4 rozdziały:

1) sprzęt łuczniczy,
2) zasada strzelania z łuku,
3) zaprawa,
4) teren i zawody.

Specjalny rozdział drobiazgowo omawia wyrób łuków i strzał, co pozwoli na rozszerzenie tego pożytecznego sportu wśród sfer najmniej zamożnych, a przedewszystkiem po wsiach.

Z powyższego widać, że czytelnik znajdzie w tej pracy wszystko, co dotyczy tego sportu: i sprzęt i zaprawę i zawody.

Książka jest opracowana bardzo popularnie, tak, że może nawet zastąpić instruktora. Na końcu jej zamieszczono regulamin odznaki łuczniczej. Zdobi ją szereg ciekawych ilustracyj. Będzie ona cennem uzupełnieniem literatury z zakresu tego rycerskiego sportu, którego pielęgnację podjęli ostatnio szczególnie harcerze, oraz organizacje P. W. męskie i kobiece.

Nie powinno jej również zabraknąć w żadnej bibljotece klubu sportowego.

STRZELANIE. Podoski Jerzy. — Główna Księgarnia Wojskowa, Warszawa, 1934. Cena zł. 2,50.

Z pośród wszystkich sportów — strzelanie jest sportem najbardziej utylitarnym, stanowi bowiem podstawę przy szkoleniu przyszłych obrońców kraju. Z tego względu rozwój sportu strzeleckiego cieszy się jak najgorętszem poparciem władz państwowych i wszelkich organizacyj, pracujących na polu samoobrony państwa.

Jednym z poważnych czynników przyczyniających się zarówno do rozbudowy sportu strzeleckiego jak i do jego propagandy, jest literatura fachowa z tej dziedziny. Każ-

dy nowy dobry podręcznik o strzelaniu, jest krokiem naprzód w rozszerzeniu idei tego pięknego sportu i w pogłębieniu zasad strzelania wśród mas.

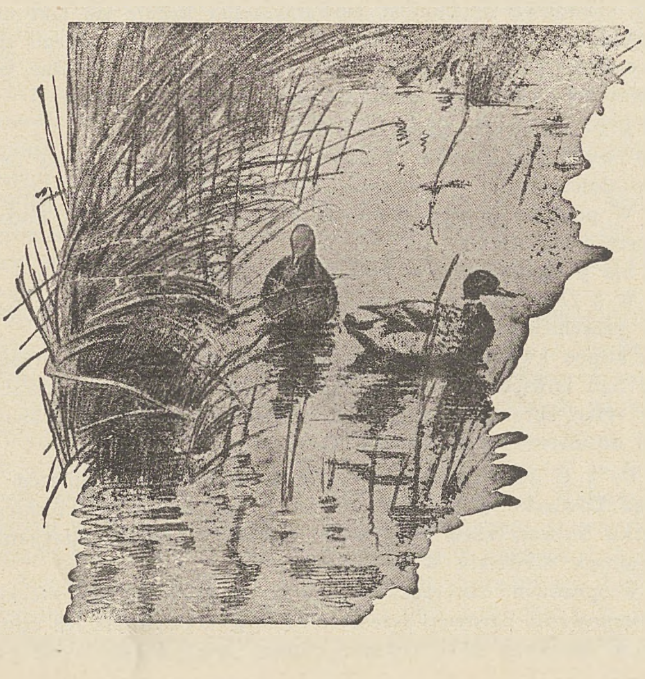
Aby bowiem zostać celnym strzelcem, nie wystarczą ogólne wiadomości o posługiwaniu się bronią palną, lecz trzeba nadto dobrze umieć wykonywać oddzielnie i łącznie szereg czynności strzeleckich, jak ujęcie broni, celowanie, znać użycie pomocy strzeleckich, należycie być zapoznanym z balistyką, ze sprzętem strzeleckim i t. p. Tym to celom praktycznym strzelectwa służy doskonała praca znanego i cenionego fachowca, kpt. J. Podoskiego p. t. „Strzelanie". Jest ona treściwym podręcznikiem przeznaczonym zarówno dla początkujących, jak i dla zawodników, a zawierającym podstawowe wiadomości z zakresu strzelania z broni długiej i krótkiej.

Na treść jej składają się następujące rozdziały:

1) wiadomości ogólne,
2) nieco balistyki,
3) wiatrówki, szkolny karabin bocznego zapłonu, wojskowy karabin,
4) karabin dowolny,
5) zaprawa strzelecka,
6) strzelanie myśliwskie i bojowe,
7) strzelanie z pistoletu,
8) obchodzenie się z bronią.

Książka ta, która ukazała się w cyklu „Bibljoteczki Sportowej" wydawanej nakładem Głównej Księgarni Wojskowej — ujęta jest pod kątem widzenia sportowym, niemniej jednak z pożytkiem przeczyta ją każdy, kto broń palną posiada dla bezpieczeństwa i samoobrony. Wypada bowiem nadmienić, iż jest ona znacznie szerzej i głębiej ujęta, aniżeli „ABC strzelanie" tegoż autora, skutkiem czego nadaje się nietylko dla początkujących, lecz również dla dobrze zaawansowanych strzelców. Z tego też względu polecić ją trzeba uwadze najszerszych warstw społeczeństwa, zwłaszcza zaś kół sportowych, organizacyj Przysposobienia wojskowego, oraz osób wojskowych.

Tekst książki ozdobiony jest szeregiem doskonałych w ujęciu rysunków, ilustrujących przejrzyście różne zasady strzelectwa.



ś. † p.

Dr. Generał BRONISŁAW MAJEWSKI

Członek M. T. Ł., zmarł w 81 roku życia, w Przemyślu.

Ceniony lekarz, zawołany myśliwy, miły towarzysz, a przedewszystkiem obywatel zacny i powszechnie szanowany.

Cześć Jego pamięci, pokój Jego duszy.

Wielkie zawody sportowe w Lubieniu Wielkim

Lubień Wielki, 27 lipca 1934.

Zadaliśmy sobie wiele trudu, by zapowiedziane na 15 lipca wielkie zawody sportowe wypadły okazale; rozbudowaliśmy naszą strzelnicę, przygotowaliśmy bogate i gustowne nagrody, byle godnie przyjąć bliższych i dalszych zapaleńców z pod znaku Św. Huberta.

Ale na przeszkodzie powodzenia naszych zawodów, stanęła kapryśna aura. 15 z. m. przez cały dzień lało jak z cebra, a 22-go — chociaż częściowo — jednak mocno nas zlało podczas samych zawodów.

I odbyły się zawody w tych bardzo niemiłych warunkach, jedynie dzięki wytrwałości i ochocie samych zawodników, niezrażonych ni złowieszczemi grzmotami, ni masami skłębionych groźnych chmur, od czasu do czasu chłodzącemi obfitemi strugami zapalonych zawodników. — Za pogody odbyły się strzelania do tarcz z kbk 22 a to:

1. na 25 m do tarczy 50 cm, stanęło 6 pań.

I. miejsce = 84 pkt. zajęła pani Irena Zielińska, nasza niezawodna strzelczyni; otrzymała złotą branzoletkę z breloczkiem tarczowym, dar p. bar. Brunickiej.

II. miejsce = 81 pkt. zajęła p. hr. Gołuchowska; srebrna branzoletka z brelokiem tarcz. — dar Komitetu.

2. na 50 m do tarczy 50 cm, stanęło 19 zawodników, w tem 15 zamiejscowych.

I miejsce — 85 pkt. Kapitan Stanisław Zieliński — otrzymał 1 kg prochu „Sokół" i „Kuropatwa" oraz srebrnego orła na skale;

II miejsce — 84 pkt. inż. Zdzisław Małecki, ½ kg prochu i żeton.

III miejsce — 83 pkt., Władysław Martyniak — garnitur srebrnych spinek.

Rozpoczęty Trójbój — do którego stanęło 5 zawodników — był ustawicznie przerywany gwałtownym deszczem, właśnie w czasie tej konkurencji najwięcej czynnym; jako tako odstrzelano rzutki, gorzej szło z dzikiem, mechanizm bowiem przemókł a w kanałach celów, woda, w dodatku deszczyk mrzył, powodując półmrok. To spowodowało przerwanie zawodów. Zgodnie z życzeniem zawodników Trójboju — postanowiło kierownictwo zawodów przeprowadzić na nowo Trójbój — tę najpiękniejszą konkurencję — po ustaleniu się pogody, najprawdopodobniej w niedzielę 5 sierpnia b. r., a wtedy może już przy stałej pogodzie i w liczniejszem gronie zawodników-myśliwych, dokona się Mistrzostwa w Trójboju w Lubieniu na r. 1934.

Zawody zakończone zostały strzelaniem do bandyty — Stanęło 5 niestrudzonych zawodników.

I miejsce zajął p. Romuald Jackowski — 1 kg prochu „Sokół" i portfel M. T. Ł.

II miejsce zajął kpt. Stanisław Zieliński — ½ kg prochu kurop. i żeton.

Miłą i cenną niespodzianką dla komitetu, był naprawdę królewski dar Państw. Wytwórni Prochu w Pionkach, wysyłającej na nagrody 30 pudełek prochu „Sokół" i 30 pud. „Kuropatwa", razem 6 kg! Dzięki temu zawodnicy bogato zostali nagrodzeni. Tą drogą jeszcze raz dziękuje Komitet Zarządowi Wytwórni za hojną ofiarę.

Cześć św. Hubertowi. K. Jackowski.

Korespondencje

Jasło, w czerwcu 1934 r.

Jako delegat M. T. Ł., pozwalam sobie skreślić poniższych słów parę.

Ubiegłe lata sprzyjały wprawdzie naturalnej rozmnoży zwierzyny w tutejszym powiecie, niestety jednak w rewirach leżących na południu (zwłaszcza w górach) rozwielmożniło się kłusownictwo na szeroką skalę. — Oczywiście tylko część spraw tego rodzaju udaje się uchwycić na gorąco i te znajdują potem swój epilog w Sądach tut. Okręgu.

Ponieważ nie wątpię, że sprawy te zainteresują Szan. Wydział, względnie Redakcję „Łowca", przesyłam w załączeniu wyciągi z aktów poszczególnych spraw:

1. Stefan Bynio syn Jana ur. 25/10 1902 z Woli Cieklińskiej, polował dnia 18/I. 1933 ze strzelbą z drugim osobnikiem i psem i ubił 2 zające na cudzym terenie w gminie Bednarka.

Wyrok Sądu grodzkiego w Gorlicach z 1/VI 1933, Kg 77/33. — 1 miesiąc aresztu. — Sąd okręgowy w Jaśle wyrok ten zatwierdził.

2. Franciszek Gerlach, lat 28 z Woli Jasienickiej i Aleksander Gerlach, lat 18, obaj dnia 23/XII 1932, zastrzelili sarnę w lesie Kombornia Szeliskiego. — Wyrok Sądu grodzkiego w Krośnie z 25/IX 1933 Kg. 398/33 po 20 zł. grzywny z tem, że o ile grzywna ta okaże się nieściągalną, mają obaj odbyć po 2 dni aresztu. — Sąd okręgowy wskutek apelacji, wymierzył im karę po 2 tygodnie aresztu.

3. Piotr Werbiński, lat 23 ze Świerzwy ruskiej, w czerwcu 1933 r., zastrzelił na terenie gminy jelenia. Wyrok Sądu gr. w Żmigrodzie z 18/VII 1933 Kg. 350/33, 5 tygodni aresztu.

4. Jakiś rok temu, zapadł wyrok w Sądzie gr. w Gorlicach, skazujący kłusownika za zastrzelenie 2 zajęcy i noszenie strzelby, na 1 tydzień aresztu, z zawieszeniem wykonania kary na 1 rok.

5. Józef Naguda, lat 25 z Błaszkowy, zastrzelił 17/VIII. 1933, zająca na terenie gminy. Wyrok Sądu gr. w Brzostku z 20/XII 1933, Kg. 520/33 1 miesiąc aresztu.

6. 30 listopada 1933 w Józefowie, przydybał strażnik leśny Walenty Więcek, kłusownika Wasyla Hoca z Fulusza, na gorącym uczynku zastrzelenia 2 zajęcy. W pewnej chwili gdy strażnik chciał kłusownika przetrzymać, tenże odwrócił się, wymierzył z pojedynki do strażnika i wypalił, raniąc go ciężko.

W Sądzie grodzkim w Jaśle zapadł wyrok skazujący kłusownika na 10 miesięcy więzienia. Strażnik leżał chory około 5 tygodni w szpitalu i miesiąc w domu i do dziś dnia, rany się jątrzą. — Apelacja wniesiona.

Wynikiem tego: żaden z dozorców leśnych, kłusowników tropić nie chce.

Inż. J. Onyszkiewicz.

Nawojowa, 8 lipca 1934.

Donoszę z obowiązku sprawozdawczego, że w majątku moim: Nawojowa-Rytro-Szczawnica, w r. gosp. 1/4 1933 do 31/3 1934, została ubita następująca zwierzyna: dzików 25, rogaczy (kozłów) 13 wyłącznie na podchodach w lecie, zajęcy 79, lisów 7, dziki gołąb 1, jastrząb 1, wron i srok 61. — Rysie udusiły kilka sztuk sarn. — Znaleziono z wiosną 1933, zrzuty 2 bardzo dobrych jeleni szesnastaków, o wadze 6 kg.

Adam Stadnicki,
Delegat na powiat Nowy Sącz



Z Polskiego Związku Stow. Łowieckich

Protokół z posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 9 lipca 1934 r.

Przewodniczył obradom p. Przew. Wacław Szperling, obecni byli pp.: Wiceprezesi — gen. Kazimierz Fabrycy i Maurycy hr. Potocki, Członkowie — red. Walenty Garczyński, Józef Krauze, Czesław Lisowski, inż. Henryk Sosonko, gen. Stanisław Skrzyński, Józef Skrzypek, oraz zaproszeni pp.: prof. Janusz Domaniewski i Jerzy Dylewski; sekretarzował Jerzy Bokiewicz.

Porządek dzienny obejmował:

1. Sprawy III Pokazu Trofeów Łowieckich.
2. Zatwierdzenie protokołu posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 15 czerwca.
3. Sprawę Komisji Propagandowej.
4. Uzupełnienia i zmiany statutu Związku na podstawie uchwal Walnego zgromadzenia z dnia 3 czerwca r. b.
5. Sprawy bieżące.
6. Wnioski.

Wobec tego, iż Komitet Organizacyjny i Komisje Sędziowskie III Pokazu Trofeów Łowieckich są już rozwiązane, Wydział Wykonawczy postanowił reklamacje wystawców, dotyczące oceny eksponatów, przekazać do rozpatrzenia Komisji Sędziowskiej przyszłorocznego Pokazu.

Protokół posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 15 czerwca r. b. zatwierdzono bez zmian.

Po dyskusji, w której zabierali głos pp.: prez. Skrzypek, gen. Fabrycy, prez. Szperling i gen. Skrzyński, Wydział Wykonawczy postanowił utworzyć nową Komisję Propagandową.

Przewodnictwo Komisji tej powierzono p. prez. Skrzypkowi, na członków Komisji postanowiono zaprosić pp. red. Garczyńskiego, Gędziorowskiego, gen. Skrzyńskiego, oraz Zabiełłę, przyczem pozostawiono Komisji prawo kooptacji.

W łączności z uchwaloną przez Walne Zgromadzenie zmianą liczby Członków Zarządu Związku, Wydział Wykonawczy, na mocy uprawnienia Walnego Zgromadzenia, uchwalił następującą redakcję § 22 statutu Związku:

„§ 22. Zarząd Związku składa się z Prezesa, 3 do 5 Wiceprezesów, od 20 do 30 Członków, wybieranych przez Walne Zgromadzenie w drodze zwykłego głosowania, oraz Przewodniczących Oddziałów Wojewódzkich.

Przynajmniej połowa Członków Zarządu musi zamieszkiwać w Warszawie".

W związku z utworzeniem Sądu Łowieckiego, Wydział Wykonawczy, na podstawie uprawnienia Walnego Zgromadzenia, uchwalił, w myśl zreferowanego przez red. Garczyńskiego wniosku p. dr. Lardemera, następującą redakcję zmian i uzupełnień statutu:

W § 14 po zdaniu pierwszem, dodaje się zdanie następujące:

„Za szkodliwą działalność stowarzyszenia uznaje się fakt niepoddania się wyrokowi Sądu Łowieckiego, zarówno całego stowarzyszenia, jak jego pojedyńczego członka, jeżeli odnośne stowarzyszenie zatrzymuje członka takiego w swojem gronie".

W § 19 punkt d) otrzymuje brzmienie:

„d) wybierają Zarząd, 5 członków Komisji Rewizyjnej oraz Przewodniczącego i 8 Członków Kolegjum Sądu Łowieckiego".

— W punkcie e) tegoż § 19 zamiast średnika na końcu, dodaje się przecinek i słowa:

„a nie podpadające pod kompetencje Sądu Łowieckiego";

— W § 27 na końcu pierwszego zdania dodaje się zamiast kropki — przecinek oraz słowa:

„w końcu kwalifikowanie spraw, zgłoszonych do rozpatrzenia przez Sąd Łowiecki z tem, że Sądowi temu winny być przekazywane tylko sprawy, nadające się zdaniem Wydziału Wykonawczego do rozstrzygnięcia przez Sąd Łowiecki".

— Po § 35 wstawia się nowy § 36 o brzmieniu następującem:

„Sąd Łowiecki. § 36. Sąd Łowiecki jest organem Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich, powołanym do rozstrzygania, na wniosek Wydziału Wykonawczego:

a) w sprawach, dotyczących zakwestjonowania etyki łowieckiej w postępowaniu zarówno zrzeszonych stowarzyszeń, jak ich członków; w sprawach tych ostatnich jednak tylko o tyle, o ile one

będą przedstawione Sądowi Łowieckiemu do rozpatrzenia przez zarządy interesowanych stowarzyszeń, a ponadto, w wypadkach, gdy odnośne stowarzyszenie posiada własny statutowy Sąd Honorowy — także pod warunkiem wyrażenia zgody tego sądu na rozpatrzenie sprawy przez Sąd Łowiecki;

b) w sprawach spornych, wynikłych między zrzeszonemi stowarzyszeniami, jako takiemi, lub między członkami tych stowarzyszeń a innemi zrzeszonemi stowarzyszeniami.

Orzeczenia Sądu Łowieckiego są ostateczne, a stowarzyszenia i osoby, których orzeczenia te dotyczą, obowiązane są bezwzględnie poddawać się im, a to pod rygorami, przewidzianemi w niniejszym statucie.

Walne Zgromadzenie wybiera na okres lat trzech Przewodniczącego i 8 Członków Kolegjum Sądu Łowieckiego.

Sąd Łowiecki składa się z trzech Sędziów, wyznaczanych dla każdej pojedyńczej sprawy, z grona Kolegjum, przez Przewodniczącego.

Oficerowie czynnej służby armji polskiej, oficerowie policji państwowej i straży granicznej, nie podlegają Sądowi Łowieckiemu w sprawach, wchodzących w zakres działania właściwych dla nich Sądów Honorowych odnośnych organizacyj".

Dotychczasowy § 36 statutu otrzymuje numer kolejny § 37.

Kancelarja Cywilna Pana Prezydenta Rzeczypospolitej nadesłała na ręce p. Prezesa gen. Sosnkowskiego pismo, w którem z polecenia Pana Prezydenta Rzeczypospolitej składa podziękowanie uczestnikom Walnego Zgromadzenia Związku za depeszę hołdowniczą z dnia 3 czerwca r. b.

W „Dzienniku Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej" Nr. 52 z r. b. ogłoszone zostały rozporządzenia P. Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych z dnia 2 czerwca r. b., a mianowicie — 1) o wprowadzeniu czasu ochronnego dla niektórych zwierząt łownych.

Wszystkie ustalone temi rozporządzeniami czasy ochronne pokrywają się całkowicie z opinją Zarządu Związku.

Rozporządzenia te ogłoszone zostaną w najbliższym numerze „Łowca Polskiego".

Polskie Towarzystwo Łowieckie w Warszawie, obejmując czynności Oddziału Wojewódzkiego Związku na obszar województw: kieleckiego, lubelskiego, łódzkiego, poleskiego i warszawskiego z m. st. Warszawą, rozesłać zamierza do członków Stowarzyszeń Związkowych, działających na tym obszarze odezwę.

Odezwę, której projekt odczytał p. hr. Potocki, postanowiono zamieścić w „Łowcu Polskim" z krótkim komunikatem Wydziału Wykonawczego, podającym do wiadomości o nadaniu Polskiemu Towarzystwu Łowieckiemu praw Oddziału Związku.

Niezależnie od działalności ideowej w charakterze Oddziału Związku, Polskie Towarzystwo Łowieckie przystępuje do zorganizowania Klubu w celu stworzenia możliwości rozwoju życia towarzyskiego myśliwych.

W skład Komisji Łowieckiej Polskiego Towarzystwa Łowieckiego wchodzą pp. prez. M. hr. Potocki, W. Szperling, W. Garczyński, B. Gędziorowski, Cz. Lisowski, inż. K. Rotkel, dr. I. Grymiński i inż. A. Śliwiński.

W związku z przejęciem przez Komisję w znacznej mierze dotychczasowych czynności Wydziału Wykonawczego Związku, postanowiono, na wniosek p. prez. Szperlinga, zapraszać członków Komisji, nie będących członkami Wydziału Wykonawczego, na posiedzenia Wydziału.

Wielkopolski Związek Myśliwych powziął na swem Walnem Zgromadzeniu uchwałę zwrócenia się do Zarządu z prośbą, aby przy opracowywaniu nowelizacji prawa łowieckiego, wzięto pod uwagę nową ustawę łowiecką Prus.

Wydział Wykonawczy postanowił wyjaśnić Wielkopolskiemu Związkowi Myśliwych, że sprawa nowelizacji w chwili obecnej zależna jest wyłącznie od Rządu Rzeczypospolitej, Związek zaś nie ma już możności rozpoczynania prac nowelizacyjnych na nowo.

Wydział Wykonawczy postanowił przedstawić Zarządowi wniosek o ponowne przyjęcie Kółka Łowieckiego „Lewart" w Lubartowie, wykreślonego w r. 1931. Decyzję tę Wydział Wykonawczy powziął w drodze wyjątku, wyrażając przekonanie, że wejście do zarządu Kółka „Lewart" Delegata Związku w powiecie Lubartów, p. Augustynopolskiego — daje gwarancję reorganizacji Kółka.

Zgodnie z decyzją Zarządu Związku z dnia 2 czerwca r. b., p. dr. Lardemer opracował projekt pisma do Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych w sprawie opinji Wydziału Wykonawczego co do rozwiązywania przez dzierżawców prawa polowania umów dzierżawnych przed upływem terminu.

P. Garczyński wypowiedział się przeciw zmianie opinji, przedstawionej uprzednio.

Po dyskusji, w której zabierali głos pp. gen. Fabrycy, hr. Potocki, prez. Skrzypek, red. Garczyński i prez. Szperling, przystąpiono do głosowania i 6 głosami przeciw 2 postanowiono złożyć Ministerjum Rolnictwa i Reform Rolnych opinję, opracowaną przez p. dr. Lardemera.

Administracja dóbr Kwilcz zwróciła się do Związku z zapytaniem, czy prawo dysponowania trofeami i zwierzyną, należy do właściciela gruntu, czy też do dzierżawcy prawa polowania.

Wydział Wykonawczy stwierdził, że, o ile umowa dzierżawna nie zawiera specjalnych w tej mierze zastrzeżeń, prawo dysponowania trofeami i zwierzyną, należy dzierżawcy prawa polowania.

Protokół z posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 15 czerwca 1934 r.

Obecni pp.: Przewodniczący Wacław Szperling, Wiceprezes Zarządu Maurycy hr. Potocki, Członkowie — red. Walenty Garczyński Witold Kiltynowicz, Józef Krauze, Czesław Lisowski, inż. Henryk Sosonko, gen. Stanisław Skrzyński, Józef Skrzypek i mec. Aleksander Tallen-Wilczewski; protokół prowadził Jerzy Bokiewicz.

Porządek dzienny obejmował:

1. Zatwierdzenie protokółu posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 30 kwietnia r. b.
2. Sprawy Delegatów Powiatowych.
3. Sprawy Stowarzyszeń Związkowych.
4. Sprawy bieżące.
5. Wnioski.

Przyjęto do wiadomości usprawiedliwienia nieobecności na dzisiejszem posiedzeniu pp.: Gędziorowskiego, inż. Grabowskiego, inż. Knothego i Żukotyńskiego.

Protokół posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 30 kwietnia r. b. zatwierdzono bez poprawek.

Na wniosek Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, Wydział Wykonawczy mianował dotychczasowego Delegata Związku w powiecie Nadwórna (woj. stanisławowskie), inż. Filipa Hirscha — Delegatem Związku na powiat Lisko (woj. lwowskie).

Protokół zebrania Delegatów Związku w powiecie Dąbrowa (woj. krakowskie) postanowiono przesłać w odpisie Krakowskiemu Oddziałowi Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego. Małopolskie Towarzystwo Łowieckie nadesłało Prezydjum Związku zaproszenie na walne zgromadzenie M. T. Ł., odbyć się mające we Lwowie, dnia 17 b. m. Ponieważ nikt z Prezydjum na dzień ten do Lwowa pojechać nie może, Związek przesłał Małop. Tow. Łowieckiemu pismo z życzeniami pomyślnych obrad i dalszego rozwoju.

Na zaproszenie Warszawskiej Spółki Myśliwskiej, Wydział Wykonawczy postanowił urządzić dla Członków Zarządu Związku wycieczkę dla zwiedzenia fabryki amunicji i śrutu tejże Spółki. — Termin wycieczki ustalono na dzień 23 czerwca r. b.

Polski Oddział Międzynarodowego Towarzystwa Ochrony Żubra, siedzibę swą przeniósł z Poznania do Warszawy.

Wydział Wykonawczy postanowił opłacać w dalszym ciągu składkę członkowską na rzecz M. T. O. Ż. w wysokości zł. 40 rocznie.

Rozpatrzono następnie wnioski Stowarzyszeń Związkowych, przekazane przez Walne Zgromadzenie Zarządowi.

Sekcja naukowa oddziału poznańskiego Związku zawodowego leśników R. P. przedstawiła Wydziałowi Wykonawczemu wnioski:

1. o przedłużenie ochrony na dziki tak, aby obowiązywała od 1 marca do 31 października;

2. o zakaz strzelania dzików na obszarze mniejszym, niż 250 ha;

3. o zakaz polowania na dziki w czasie od zachodu do wschodu słońca.

Do wniosków tych dołączono motywację, opracowaną przez specjalną komisję wymienionej instytucji.

Wydział Wykonawczy uznał, że sprawę ochrony dzików najzupełniej wyczerpano w dyskusjach przy opracowywaniu projektu

noweli do prawa łowieckiego i że przewidziany w projekcie tym czas ochronny jest wystarczający.

Dlatego też do wniosku powyższego Wydział Wykonawczy przychylić się nie mógł.

W związku z likwidacją III-go Pokazu trofeów łowieckich, sekretarjat Komitetu organizacyjnego Pokazu przekazał sekretarjatowi Związku akta Pokazu. Przejęcie inwentarza Pokazu powierzono p. prez. Skrzypkowi.

Na wniosek p. prez. Szperlinga, Wydział Wykonawczy ustalił następującą wysokość nagród na tegoroczny konkurs fotograficzny „Łowca Polskiego": nagroda I — zł. 150, II. — zł. 100, III. — zł. 50, IV. — roczna prenumerata „Łowca Polskiego", V. — półroczna prenumerata „Łowca Polskiego".

Towarzystwo Łowieckie Ziem Wschodnich w Wilnie, wręczyło swym odznaczonym przez Związek członkom medale i dyplomy na specjalnem, uroczystem posiedzeniu zarządu.

Zawiadamiając o tem, zarząd Towarzystwa Łowieckiego Ziem Wschodnich, w imieniu odznaczonych, złożył Wydziałowi Wykonawczemu podziękowanie.



Z OSTATNIEJ CHWILI

W dniu 30. sierpnia b. r., odbyło się posiedzenie Komitetu dla urządzenia strzelań o mistrzostwo Lwowa.

Do Komitetu tego przystąpiły wszystkie zespoły strzeleckie we Lwowie, a także M. T. Ł.

Zawody odbędą się w dniach 6. i 7. października b. r.

W zawodach tych przewidziano także strzelania myśliwskie, a mianowicie kulą do jelenia na odległość 100 m — 5 strzałów, do dzika, na 50 m — 5 strzałów, do 10 rzutków i do zająca śrutem na 35 m — do 5 zajęcy w 5 przebiegach.

Strzelania myśliwskie uprawniają narówni z innemi do zdobycia mistrzostwa.

Szczegółowy program podamy w najbliższym numerze, a już obecnie w biurze M. T. Ł. możemy udzielać dokładniejszych informacyj.

SPROSTOWANIE OMYŁKI DRUKARSKIEJ.

W numerze 15—16 na stronie 131, we wierszu 11-tym z dołu, ma być „od 1 lutego do 15 października" zamiast „do 31 października".

ODSTRZAŁ JELENI.

W lasach prywatnych: **Żupanie,** stacja kolejowa **Ławoczne,** jest do odsprzedania odstrzał **pięciu** kapitalnych **byków-jeleni** (na dwadzieścia ryczących) podczas tegorocznego rykowiska. — Ze stacji Ławoczne jedzie się furmanką na miejsce do leśnictwa 16 km. Pomieszczenie wygodne. Do dyspozycji dwa pokoje u leśniczego.

Zgłoszenia przyjmuje i wyjaśnień udziela właściciel łowiska, Jan Skuciński, emer. Inspektor weterynarji w Rzeszowie, ul. Krakowska 12.

Do MIEJSKIEGO TOWARZYSTWA MYŚLIWSKIEGO WE LWOWIE, może być przyjętych do końca września b. r., kilku P. T. Myśliwych w charakterze czynnych Członków. — Informacyj bliższych udzieli WP. Marjan Kafka, Prezes Towarzystwa we Lwowie, ul. Kopernika l. 3.

Dyrekcja Lasów Państwowych we Lwowie, sprzedaje począwszy od 15 sierpnia b. r. odstrzał sarn-rogaczy w cenie od 20 do 30 zł.

Bliższych informacyj udziela Dyrekcja listownie i telefonicznie.

DYREKTOR LASÓW PAŃSTWOWYCH
w zastępstwie
Inż. B. Paszyński
Inspektor

Dyrekcja Lasów Państwowych we Lwowie — sprzedaje odstrzał jeleni - byków podczas tegorocznego rykowiska, w cenie od 200 do 450 zł. za 10-taka, za każdą dalszą parę odnóg od 25 do 50 zł.

Bliższych informacyj udziela Dyrekcja listownie, oraz telefonicznie (Nr. 2-55).

DYREKTOR LASÓW PAŃSTW.
w zastępstwie
Inż. B. Paszyński, Inspektor.

DWA LEGAWCE, pierwsze i drugie pole, do sprzedania. — Trener psów, Florjan Wojciechowski, Lwów, plac Strzelecki 3.

TREŚĆ NUMERU 17—18:

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 6·— zł.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 120 zł., 1/2 str. 60 zł. 1/4 str. 30 zł., 1/8 str. 15 zł., 1/16 str. 7 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 15 gr. za wyraz, tłusty druk, grube litery po 20 gr. Najmniejsze ogłoszenie zł. 2. Znaki pisarskie liczy się za wyrazy.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, I p. schody 5 drzwi Nr. 44 (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) Godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małop. Tow. Łow. we wtorki i piątki o godz. 12-tej Redakcja nie zwraca rękopisow już drukowanych i zastrzega sobie konieczne zmiany i skróty Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek — Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4 - 32